

**ELIZA  
ORZESZKOWA**

Z OPOWIADAŃ  
PRAWNIKA

# Eliza Orzeszkowa

## Z opowiadań prawnika

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55842962](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842962)*

*Z opowiadań prawnika:*

### Аннотация

Cykl na który składają się trzy opowiadania „Stracony”, „Dziwak” i „Pani Luiza”. Łączy je postać narratora – prawnika podejmującego się kolejnych zadań. Orzeszkowa używa postaci prawnika do pokazania kilku obrazków z życia różnych sfer społecznych: robotników, arystokracji, ziemiaństwa. Tylko nowela „Stracony” faktycznie dotyczy rozprawy sądowej i ma wpływ na przebieg akcji, w pozostałych dwóch zawód narratora nie ma większego znaczenia. Tym, co te utwory łączy jest raczej krytyka relacji społecznych i wrażliwość na krzywdę. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie na problemy społeczne – w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

# Содержание

Stracony	4
Конец ознакомительного фрагмента.	69

# Eliza Orzeszkowa

## Z opowiadań prawnika

### Stracony

Nowella

.....Pewnego dnia opuszczałem wielką budowę, w której w mieście naszym mieszczą się sądy cywilne i kryminalne, gdy w ostatniej sali spotkałem się oko w oko z jednym z Sędziów, mającym się także ku odejściu.

– Jakże się cieszę, że pana spotykam – zawołał, ujrzawszy mnie, poważny dygnitarz. – Dziś właśnie wysłaliśmy panu urzędowe pismo, ale rad jestem, że o treści jego osobiście pomówić z panem mogę.

– Czém rozkażecie mi panowie służyć sobie?

– Rozkazywać nie mamy prawa, ale prosiliśmy pana, abyś chciał podjąć się obrony pewnego młodego przestępcy, względem którego prokurator formułuje podobno wielce srogie wnioski. Będzie to, jak się zdaje, kategoria najwyższa... ciężkie roboty, czy coś podobnego... musimy dać mu obrońcę, prezes pomyślał o panu.

Skłoniłem się przyzwalająco.

– W tych dniach – rzekłem – mam nawet wolnego czasu

więcej, niż zwykle.

– A więc wybornie się składa – rzekł urzędnik – wydamy wnet Kancelaryi rozporządzenie, aby akta, odnoszące się do sprawy młodego Kalińskiego, dane zostały panu do przejrzenia.

Nazwisko, wymówione przez urzędnika, uderzyło mnie, należało ono do jednej z najbogatszych, najstarszych i najbardziej rozgałęzionych rodzin szlacheckich w prowincyi naszej.

Dwóch ludzi nazwisko to noszących znałem nawet osobiście: jednym z nich był pięćdziesięcioletni Jan Kaliński, majątny obywatel wiejski, pozujący nieco na arystokratę, z tém wszystkiém jednak doskonale uczciwy i dość oświecony; drugim, syn jego, dorosły, piękny, gruntownie wykształcony i bardzo sympatyczny młody człowiek. Zasłyszałem téż był mimochodem o bracie Jana, Maurycym Kalińskim, który przecież w mieście nie ukazywał się nigdy i o którym nic nie mówiono więcej, jak tylko, że jest zawołanym myśliwym i że ma kilkoro dzieci. W ogóle była to rodzina obdarzona wszelkiemi dobrami tego świata: wysokiém i szerokiém drzewem genealogiczném, szerokiemi i świetnemi stosunkami, bogactwem i dobrą sławą.

Nie przypuszczałem téż, aby kryminalista, którego prawną obronę pieczy méj powierzono, był członkiem téj właśnie rodziny; sądziłem, że jest to raczej prosta tylko, a dość często, bez żadnych związków krwi, zdarzająca się tożsamość nazwiska.

Jakże zdziwiłem się, gdy nazajutrz, rozwijając spory zwój

urzędowych aktów, na pierwszym zaraz arkuszu wyczytałem: Roman, syn Maurycego i Elżbiety z Dębiczów, Kaliński. Tuż obok nazwisk tych, stała cyfra, oznaczająca wiek przestępcy: Miał lat dziewiętnaście i trzy miesiące.

Był to więc syn owego zagorzałego myśliwego, którego psiarnie i konie wierzchowe słynęły na całą prowincją, synowiec wytworzonego i pełnego uczucia honoru pana Jana, brat stryjeczny młodego Józefa, który w tym właśnie czasie wznosił w majątku swym jakiś wielki przemysłowy zakład, członek, słowem, rodziny, wysokie miejsce zajmującej w społeczeństwie. Kim więc był ów młody Roman? co uczynił? jakim sposobem imię jego z szeregu szanownych i szczęśliwych spadło na kartę, gdzie wypisywane kategorie przestępstw najsroższych i kar najwyższych.

Przez parę godzin siedziałem dosłownie zagrzebany w leżących przede mną papierach. Nigdy może z taką ciekawością nie czytałem powierzonych mi sprawy. Skończywszy czytanie ostatniego arkusza, porwałem się z krzesła i mimowoli zawołałem: Dziwna rzecz! dziwna rzecz!

Młody Kaliński obwiniony był o zabicie, przez uderzenie w głowę laską o żelaznym nagłówku, jednego ze znanych powszechnie małomiasteczkowych karczemnych szulerów.

Fakt dokonany został w małej mieścinie, wśród nocy, w wielce podejrzanym przez policją handlu trunkami. Obwiniony odpierał dotąd oskarżenie, do niczego się nie przyznając, ale dowody winy jego były zupełne i przekonywające. Pomędzy

nim a szulerem zaszła w izbie, w której znajdowali się oni sam na sam, żywa i głośna sprzeczka. Właścicielka zakładu i goście jój, bawiący się w przyległej izbie butelką i grą w bilard, sprowadzeni hałasem w miejsce kłótni, znaleźli towarzysza swego, bez życia leżącego na ziemi. Kaliński przed wejściem ich jeszcze wybiegł na ulicę. Z rany, zadanej zabitemu, trysnęła krew i zrosiła stół i podłogę w izbie. Na rękawie surduta obwinionego znaleziono też plamy, które powołani ku temu eksperci uznali za pochodzące od krwi. Tuż przy zwłokach zabitego, znaleziono pugilaresik z wyżłobioną na skórze cyfrą Kalińskiego, uroniony przezeń zapewne w zapale sporu. Obwiniony nakoniec, pomimo uporczywego twierdzenia, że w chwili dokonanej zbrodni nie znajdował się już na miejscu jój dokonania, dowieść nie mógł swego **alibi**, a stróż nocny pod przysięgą zeznał, iż widział go wybiegającego z handlu i nieprzytomnie przebiegającego zaułek, na parę sekund zaledwie przed chwilą, w której w handlu podniósł się hałas, obudzony widokiem człowieka, życia pozbawionego. Cel zabójstwa zdawał się być jasnym i widocznym, i zarazem wprowadzał czyn popełniony w kategorię przestępstw, najsrożej przez prawo karanych. Celem tym musiała być chęć odebrania szulerowi kilkunastu rubli, które widziano u niego na kwadrans przed zaszłym wypadkiem, a przy zwłokach nie znaleziono. Taką ilość pieniędzy rewizya, następnego ranka dokonana, znalazła w kieszeni ubrania obwinionego. Obwiniony utrzymywał, że pieniądze te posiadał w zamian złotego medalionu, przed dwoma

dniami sprzedanego przezeń niejakiój wdowie Dziećierskiej. Otrzymaawszy od władzy stosowne zapytanie, Dziećierska urzędownie oświadczyła, iż medalionu, ani żadnego innego cennego przedmiotu, od obwinionego nie nabywała, i dlaczegoby w obecnym wypadku powoływał się on na nią, wcale nie pojmuje. Innego źródła pochodzenia będących w mowie pieniędzy obwiniony wskazać nie mógł, czy nie chciał, uporczywie trwając przy historii o medalionie, która, wobec zaparcia się mniemanój nabywczyni, przybierała pozór kłamstwa i wykrętu. Cokolwiekbaż, głęboko zanotowałem sobie w pamięci owo zeznanie Kalińskiego, które kłamliwém na pozór tylko być mogło, i długo zastanawiałem się nad przeczącém oświadczeniem owój Dziećierskiej, wydającój mi się w całym toku sprawy osobą wielce podejrzanej uczciwości, i niezupełnie na wiarę zasługującą.

Tak w głównych zarysach swych przedstawiała się sprawa ta, która, z powodu pochodzenia i społecznego położenia sprawcy swego, napełniła mię głębokiém zdumieniem. Samo już znajdowanie się członka rodziny Kalińskich w miejscu, zostającém na indexie policyi, było nieco dziwném; młodzi panowie bowiem, z téj sfery towarzyskiej pochodzący, do jakiej należał nowy mój klient, jeżeli błądzą, nieraz i srodze nawet, zwykli są przeciw błędy swe okrywać pozorami przyzwoitości, nakazanemi im nietylko przez pewną dumę, łączącą się z ich pochodzeniem, ale przez samo już poczucie dobrego smaku, zaczerpnięte ze wszystkiego, co otacza ich od kolebki.

Zabawy ich bywają bardzo często występne, ale bardzo rzadko brudne. Obyczajami swemi każą oni salony, ale obecnością swą zaszczycać nie lubią ulicy.

Przypuszczając jednak pewne wyjątkowe okoliczności, mogłem jeszcze jako tako wytłómaczyć sobie to zstąpienie wysoko urodzonego szlachcica w otchłań, na której dnie szumią brudne uciechy mętów i wyrzutków społeczeństwa; ale jakież wytłómaczenie znaleźć mógł fakt dokonania zabójstwa przez syna bogatych rodziców na nędzarzu, żyjącym z oszustwa, w celu odebrania od niego nędznych kilkunastu rubli? A jednak, pomimo uporczywego zapierania się obwinionego, fakt jasny był, jak dzień; wątpić o prawdziwości winy nie mogłem, pozostawało mi tylko widzieć się osobiście z występny i z własnych ust jego, z dziejów tak krótkiego, a tak już, niestety, steranego jego życia, zaczerpnąć szczegóły, wyjaśniające to, co dla mnie samego niezrozumiałem pozostawało, a zarazem mogące mi dostarczyć poglądów na sprawę, z których wyradzają się okoliczności, winę umniejszające i karę za nią łagodzące. Czulem, że okoliczności takie istnieć musiały w niemałej liczbie; niepodobna było bowiem tak brzydkiej zbrodni przypisać samym tylko złym skłonnościom, samemu zepsuciu charakteru dziewiętnastoletniego młodzieńca. Była-by to w podobnym razie jakaś potworność moralna, wiarę zaś w częste istnienie potworności moralnych pomiędzy ludźmi osłabiły we mnie znacznie doświadczenia i studia, z zawodem mym połączone. Potworności istnieją bezsprzecznie, ale rzadko bardzo matką

ich bywa sama przyroda; są one najczęściej skutkiem przyczyn, leżących głęboko w przeszłości człowieka, zwolna i stopniowo pętających umysł jego, w obłąd wprawiających sumienie. Każde prawie zło znajduje wytłomaczenie swe i źródło w czémś, co je poprzedziło, a co także było złém. Jak z niezdrowego gruntu wyrastają karłowate i chore rośliny, tak chore i kalekie duchy ludzkie powstają wśród niskich i niezdrowych trzęsawisk moralnych. Ależ znowu, sądząc według prawdopodobieństwa wszelkiego, grunt, na jakim wzrósł i rozwinął się duch młodego Kalińskiego, nie musiał karmić go trującymi sokami. W tej też sprzeczności drzewa z owocem i gruntu z rośliną leżało główne psychiczne zagadnienie sprawy, zagadnienie, które zajmowało całą myśl moją przez całą dobę, a w połowie mrocznego dnia jesiennego przywiodło mnie ku bramie miejscowego więzienia.

Nie pierwszy to raz przestępowałem próg posepnej budowy, dokoła opasanej wysokim murem. Ciężkie, wielkie, w żelazne rygle i sztaby zaopatrzone drzwi, wprowadzały tam wchodzącego do ciemnej sklepionej bramy, za którą znajdował się wązki, długi, brukowany dziedziniec, z czterech stron otoczony kamiennymi gmachami, o trzech rzędach małych, okratowanych okienek. Miejsce to podobnym było do olbrzymiej studni, na której dnie stojący człowiek spostrzegać mógł w górze wązki pas nieba i długie szeregi sterczących nad dachami popielatych kominów. Naprzeciw bramy wchodowej znajdowała się inna, mniejsza tylko i niższa brama, a za nią widać było w oddali małe kwadratowe podwórko, tak już ścieśnione murami,

że w najjaśniejszy dzień pogrążone zostawało w głębokim zmroku. Dokoła drugiego tego podwórka były cele, w których zamykano więźniów, wyrokami sądowemi skazanych już na najcięższe kary. Oznajmiłem dozorcę więzienia, że przyszedłem dla widzenia się z Romanem Kalińskim.

– W tej chwili jest on nieobecny – odpowiedział dozorca – wypadła mu dziś kolej przynoszenia obiadu dla więźniów. Ponieważ jednak kuchnia znajduje się tuż obok w zaułku, sądzę, że wnet wróci. Zechce pan może tymczasem wejść do parlatoryum?

Wolałem zatrzymać się w bramie, chociaż bowiem powietrze i tu było zduszone i cuchnące, łatwiej jednak mogłem oddychać, niż w wilgotnym, ciemnym i zakurzonym parlatoryum. Przymiłem na dziedzińcu znajdowali się właśnie w tej chwili oczekujący na codzienną żywność więźniowie. Powiodłem spójrzeniem po tych chmurnych, lub cynicznych, znędzniałych, lub grubych i gęsto spletanymi włosami zarosłych twarzach, i zamyśliłem się tak głęboko, że nie słyszałem, jak otworzyły się za mną drzwi więzienia.

– Oto więzień, z którym pan życzy sobie mówić – rzekł dozorca.

Oparłem się plecami o ścianę bramy, aby nie zawadzać idącym, i spójrzałem ku drzwiom. Zamykano je właśnie za kilku żołnierzami, którzy szli, uzbrojeni w strzelby i sterczące bagnety. Kilku innych, również uzbrojonych, postępowało przodem, pośrodku szli ludzie w szarych więziennych siermięgach,

dźwigając na ramionach długie i grube drągi, z zawieszonymi na nich wielkimi statkami, pełnymi dymiącej się strawy. Z łatwością domyśliłem się, który z ludzi tych był Kalińskim. Najmłodszy ze wszystkich, miał on też twarz najbielszą, rysy najdelikatniejsze i najwysmuklejsze kształty ciała.

U wejścia z bramy na dziedziniec, towarzysz młodego więźnia, niosący drugi koniec dźwiganego przezeń drąga, ze zmęczenia, lub może leniwstwa, ugiął zbytecznie w dół ramię i zwolnił kroku.

– Hej, przyjacielu! – nie odwracając głowy zawołał Kaliński – wyprostuj-no się i żywo na przód! Nie mogę cię przecie wziąć na moje plecy!

Głos, jakim słowa te wymówione zostały, świeży był i donośny. Dźwięk jego, nieledwie srebrzysty, brzmiał na-pół rozkazująco, na-pół swawolnie i pieszczotliwie. Stary brodacz, który przed tém zginał się prawie we dwoje i zaczynał z ciężkością powłóczyć nogami, wyprostował się szybko i począł iść pewnym, równym krokiem.

Pośrodku dziedzińca więźniowie zatrzymali się i spuścili ciężary swe z ramion na ziemię, żołnierze ustąpili na bok, a ludność więzienna, z glinianymi miskami i drewnianymi łyżkami, pogarnęła się do dymiących kotłów.

– Zawołam teraz Kalińskiego – rzekł do mnie dozorca.

Chciał postąpić na przód, ale zatrzymałem go.

– Niech zje wprzód obiad – rzekłem – mogę zaczekać.

W rzeczy saméj chciałem z uboczy i niespostrzeżony

przypatrzeć się młodemu więźniowi; gwarna przytém i tłumna scena, odbywająca się na dziedzińcu więziennym, wzbudziła we mnie zajęcie i chęć czynienia spostrzeżeń. Dozorca, który znał mnie oddawna i szanował charakter, w jakim przybywałem w to miejsce, nie sprzeciwiał się memu żądaniu. Usiedliśmy obaj na drewnianej ławie, w głębi bramy umieszczonej, a przeznaczonej na miejsce spoczynku dla żołnierzy, posterunek odbywających. Wkoło stojących pośrodku dziedzińca kotłów zapanował ścisk wielki, rozległy się grube żarty i śmiechy, połączone z krzykami złości. Ustawieni pod ścianami budowy żołnierze uważnemi oczyma ścigali poruszenia grubego tego i hałaśliwego tłumu, nie wdając się jeszcze w sprawy jego, ale widocznie gotowi do postąpienia na przód i przywrócenia porządku, jeśli-by zaszła tego potrzeba. Tymczasem mężczyźni, o twarzach obrosłych splątanym włosom, lub żółtych, ciemnych i kościstych, kobiety w pstrój i brudnej odzieży, z nabrzękłemi policzkami i głowami owiniętymi w brudne szmaty, cisnęli się do upragnionego snadź pożywienia, pochylali, tłoczyli jedni drugich, wydawali z piersi rubasne śmiechy, lub złorzeczenia, topiące się w głuchém, tłumioném warczeniu. Miski przecież w rękach więźniów pozostały puste; wśród natłoku i kłótni, wszyscy przeszkadzali sobie wzajem w czerpaniu strawy. Trwało tak parę minut. Nagle po-nad bezładnym gwarem grubych, ochrypłych, lub piskliwych głosów rozległ się ten sam głos donośny, srebrzysty, na-pół rozkazujący, na-pół żartobliwy, który przed tém nieco w bramie więziennój rozkazywał leniwemu więźniowi wyprostować się i

ić na przód. Młody Kaliński przecisnął się przez tłum, stanął tuż obok kotłów i podniósł wysoko rękę.

– Halt! – zawołał – szykujcie się bracia, a żywo! raz, dwa, trzy! w szeregi! na około kotłów, jeden za drugim! tak! Ty, brodaty Grzegorz! po co się tak ciśniesz! a ty, Magdaleno, usuń się, bo cię tu zduszą! Héj, stojcie teraz wszyscy i ani mi się ruszyć, póki nie zawołam! Jerzy! ty zaczynaj! Pełną już miskę masz? dobrze! a teraz wy, Grzegorz! Wasylu, Magdaleno! Justyno! Możecie przystępować we dwóch, we trzech, ale po kolei! grzecznie i porządnie!

Patrzałem i słuchałem ze zdziwieniem. Głos i giesta młodego człowieka magiczny wpływ wywierały na tłum ten gruby i niesforny. Ludzie ci, z posępną lub bezmyślną, cyniczną lub zropaczoną powierzchownością, słuchali go, jak dzieci, według rozkazu jego szykowali się w szeregi, przystępowali do kotłów i czerpali z nich strawę, nie prędjéj, aż każdego z nich zawołał po imieniu. On zaś, znając widocznie nietylko imiona, ale i usposobienia, brzmienie głosu swego do tych ostatnich stosował. Niektóre z imion więźniów wymawiał łagodnie i przyjacielsko, inne z rubaszną żartobliwością, inne nakoniec surowo i twardo. Fizyognomia jego takim-że samym, jak głos, ulegała zmianom. Po ustach jego przebiegał uśmiech, to żartobliwy i niemal swawolny, to życzliwy i jakby litośny; ale były także chwile, w których cienko zarysowane brwi młodego więźnia zsuwały się gniewnie i nakazująco, a oczy jego, wlepione w twarz chcącego opierać się towarzysza, nabierały połysków stali,

wyrazu uporczywój i pewnej siebie siły.

Kiedy wszystkie miski napelnione już zostały, Kaliński podniósł znowu rękę.

– Teraz – zawołał – siadać! jedni za drugimi! naokoło kotłów!  
tak!

Usiedli w dwa rzędy, każdy ze swoją miską i łyżką, tworząc tym sposobem wielkie, ściśle zwarte koło. Kaliński został przez chwilę w stojącej postawie; próżna jeszcze misa stała u stóp jego na kamieniu, on zaś skrzyżował ręce na piersi i powolne spójrzenie toczył po głowach siedzących na ziemi ludzi. Teraz dopiero, gdy stał tak milczący i sam jeden, po raz pierwszy ogarnąć mogłem wzrokiem w zupełności postać jego i twarz. Wzrost jego był więcej niż średni, kształty ciała, delikatne i doskonale harmonijne, objawiały przecież niepospolitą fizyczną siłę i sprężystość. Pierś miał szeroką, ramiona dobrze rozwinięte, rękę białą i bardzo kształtną, ale muskularną i dość dużą. Wprzód już, gdy zdjął szarą sukienną czapkę, w jakiej był wszedł z ulicy do więzienia, bujne i długie pierścienie włosów kasztanowatego koloru osypały mu białe, pięknie zarysowane czoło, i w obfitych zwojach opadły na gibką i delikatną, z grubiej siermięgi wydobywającą się, szyję. Oczy jego, w podłużnej osadzone oprawie, ciemno szaremi źrenicami, niby odłamami błyszczącej stali, świeciły z pod wydętej znacznie nad nimi, wąską i ciemną linią brwi zarysowanej kości czołowej; na ściągłych zaś policzkach z-za żółtej bladości znamionującej dość już długi pobyt w więzieniu, przemocą jakby przebijają

się rumieniec młodości, a cienką wargę, porastał ciemny, gęsty puch, zaledwie wykluwającego się wąsa. Pomiedzy grubemi, bez kształtu postaciami, jakie go otaczały, na tle brudnego dziedzińca i posępnych otaczających go murów, piękny chłopak ten wyglądał, jak promień słońca wśród głębokich ciemności, lub młody i zdrowy dębczak wśród karłowatej, kalekiej choiny. Siernięga nawet więzienna, ten brzydki i bezforemny ubiór, nie szpeciła go bynajmniej; – czy umiał wdziawać ją i nosić inaczej, niż inni, czy kształty ciała jego były tak doskonale piękne, że żadna odzież zeszpecił ich nie mogła, ale, patrząc na niego, można-by rzec, iż kawał ten szarego, grubego sukna, włożył on na siebie przez żart, lub swawolę chłopięcą i, tak ubrany, przyszedł w to miejsce strachu i utrapień na chwilę tylko, aby potem udać się znowu tam, kędy, pod dachem bogatego szlacheckiego dworu, stała niegdyś kolebka jego, kędy były te wykwinty dostatku, te pieszczoty losu, z pośród których wyniósł on swą gibką, smukłą, zdrową postać, białość swego czoła, cienkość warg młodzieńczych, delikatność ręki, utworzoną miękkim próżnowaniem młodych pokoleń.

– No, – rzekł po chwili młody więzień, – teraz na mnie kolój.

Przykląkł przed kotłem i, ujmując swą misę, dodał:

– Myśleliście może, iż nie byłem głodny i tak sobie, dla przyjemności, czekałem, aż przyjdziecie do porządku! Bądźcie pewni, że jeść mi się chce jeszcze lepiej, niż wam, ale cierpieć nie mogę wrzasków waszych i kłótni... Co za ochota sprowadzać sobie na kark panów strażników i dozorców? czy nie lepiej

samych siebie pilnować? prawda?

– Prawda! – odezwało się kilka głosów, a jeden z nich ciągnął dalej:

– Już-to nie dziwota, że ty, Kaliński, nie lubisz, kiedy ludzie kłócą się i biją... U rodziców twoich było, jak u Pana Boga za piecem, co?

Zjadliwe szyderstwo brzmiało w chrypliwym głosie, i malowało się w cynicznej fizyognomii więźnia, który wymówił te wyrazy.

– To prawda! – pochwycił inny więzień, brodaty i barczysty, – paniczyk z niego!

– A jednak dostał się tu jakoś pomiędzy nas!

– I chlipie z nami czerwony krupnik!

– I pomaga nam zamiatać turmę!

– A mama i tata nie przychodzą z wizytą!

– Cha, cha, cha!

Słowom tym tłumnie towarzyszył chór grubych, urągających głosów.

Widziałem, jak po czole Kalińskiego przemknął ciemny, szybki rumieniec, oczy jego zagorzały, jak żuźle, zwierzchnia warga drgnęła. Był to jednak błyskawiczny, przelotny moment, po którym na twarz jego wrócił uprzedni wyraz, łączący w sobie stanowczość i energią z łagodnością i żartobliwością. Położył łyżkę, którą wprzód kilka razy podniósł do ust i, tocząc spojrzeniem dokoła, wstrząsał powoli głową.

– Oj ludzie, ludzie! – zawołał, – żebyście wiedzieli, jakie

głupstwa i niegodziwości z gęby waszój wychodzą, tobyście jój nigdy nie otwierali. A naprzód o rodzicach moich wara wam plaskać językami! który z was piśnie raz jeszcze o ojcu moim albo o mojej matce, temu tak przypomnę **mores**, że mu gwiazdy w oczach zaświecą!

Ci z więźniów, którzy odzywali się wprzód, chmurnie spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami, chcieli widocznie odpowiedzieć śmiechem, który jednak nie wydobywał się na ich usta. Chlipali dalej strawę swą i milczeli. Kaliński poniósł też parę razy łyżkę do ust, poczem bez żadnego już uniesienia, owszem, żartobliwym i swobodnym tonem, mówić zaczął:

– Co zaś do tego, że jestem paniczem, a pomimo to dostałem się pomiędzy was, święta to prawda. Niéma jednak tu wcale powodu do śmiechu, moi ludzie, ani też do dokuczania bliźniemu. Świat, to huśtawka, na której człowiek kołysze się, i to podleci wysoko, to spadnie nisko. Taki, co sznury od huśtawki mocno w garści trzyma, nie uderzy się o kłodę i nie upadnie nosem w kałużę; ale puść tylko huśtawkę na wolę wiatrów, polecisz w dół, jak piłka, i stłuczesz się na taką miazgę, że cię i rodzona matka kiedyś nie pozna!

– Ot, już zaczął **fiklizować!** (filozofować) – zawołał, śmiejąc się, ponury i brodaty więzień.

– Cicho, Grzegorzu! – ozwała się za nim mała, szczupła, ze zwiędłym ciałem i cierpiącą twarzą, kobiecina, – niech mówi! niech mówi!

– Niech mówi! – powtórzył głos inny, – jak zacnie gadać,

to mi się zawsze zdaje, że jestem jeszcze kamerdynerem u pana marszałka, i chodzę koło stołu z serwetą na ramieniu!

Kobieta, która odzywała się wprzód, chora widocznie i zgębiona na ciele i duchu, nic nie wyrzekła więcej, ale wlepiła w młodego więźnia wzrok uporczywy i mglący się wilgocią. Snadź, gdy patrzyła na niego, i jój także przypominała się chwila jakaś z minionej, jaśniejszej przeszłości.

– No, i cóż tam z tą huśtawką? – zagadnęło parę głosów, – mów dalej!

– Dyabelny musiał być wiatr, kiedy taki panicz, jak ty, spadł z téj huśtawki i wpadł tutaj!

Kaliński odstawił na stronę do połowy zaledwie wypróżnioną misę.

– Wiatr, – rzekł, – taki był, jak bywa zawsze na całym świecie, ale nie umiałem sznurów w garści trzymać. Zupełnie to tak było, moi ludzie, jak i z wami. Każdy z was był kiedyś w górze. Nie prawdaż!

– Prawda! prawda! – powtórzyło kilka głosów, pomiędzy którymi dosłyszć można było parę ciężkich westchnień.

– Otóż widzicie! – ciągnął najmłodszy z więźniów. – Ty, na przykład, Grzegorzu, byłeś kiedyś gajowym. Przypomnij sobie te czasy, w których ze strzelbą na ramieniu chodziłeś po lesie. Słońce świeciło, brzozy szumiały, ogniste wiewiórki skakały po gałęziach, a kiedy kukułka pierwszy raz zakukała, uderzyłeś się ręką po kieszeni, żeby miedziaki, które tam z rana

włożyłeś, głośno zadzwoniły<sup>1</sup>. Porównaj-że dawniejszy twój gaj z tym dziedzińcem, dawniejsze twoje serce z teraźniejszym, a przekonasz się, że nie trzeba śmiać się z ludzi, którzy pospadali z huśtawek!

Były gajowy słuchał słów tych, do niego zwróconych, z razu niechętnie i ponuro, zdawało się, że przerwie mowę młodemu więźniowi, grubiańską jakąś odpowiedzią. Nie uczynił jednak tego; gniewny płomień, rozpalający zapadłe źrenice jego, gasł zwolna; wśród zgrubiałego, pociemniałego czoła, powstały głębokie zmarszczki. Pochylił głowę i milczał.

Kaliński nie patrzył już na niego. Siedział na ziemi, z rękoma skrzyżowanymi na kolanach, z głową zwróconą, ku innemu więźniowi.

– Albo i ty, Jerzy, – mówił, – czy źle ci było służyć za kamerdynera u pana marszałka? Nie było ci głodno ani chłodno, spałeś 12 godzin na dobę, jeździłeś za pańską karetą i o jutro nie dbałeś. Tęgi był z ciebie chłopak, widać to; a twojaż Anusia, z którą żenić się miałeś? Ej, ej! podobno i chatkę zbudowaliście już sobie na końcu wsi pana marszałka, świetlica widna była i czysto pobielona, Anusia pod oknami pokopała grządki na kwiaty... Wszystko miało być pięknie i szczęśliwie; aż tu – w oczy ci wlaźła marszałkowska szkatułka...

Ex-kamerdyner żywo podniósł głowę.

---

<sup>1</sup> *a kiedy kukułka pierwszy raz zakukata...* – według panującego na Litwie ludowego przesądu, pierwszy raz na wiosnę usłyszawszy kukułkę, trzeba zadzwonić znajdującą się w kieszeni monetą, aby przez cały rok mieć wiele pieniędzy. [przypis autorski]

– Paniczu, – rzekł stłumionym głosem, – znaleźcie mnie na dworze pana marszałka, i widzieliście też Anusię! powiedzcie, czy mogliście myśleć wtedy, że będę tutaj...

– Ho, ho! – kochanku! – zawołał Kaliński, – a tyżeś mógł kiedy przypuścić, że ja tu będę?

Ex-kamerdyner wstrząsał głową i spoglądał na tego, którego nazywał paniczem, z dziwnym wyrazem, w którym poczucie nierówności stanu i niechęć topiły się w politowaniu i rozrzewnieniu.

Całej rozmowy téj słuchałem z najżywszém zajęciem. Ujrzałem w części przyczynę wpływu, wywieranego przez młodego więźnia na tych zgrubiałych i ponurych ludzi. Grał on na sercach ich, poruszając ukryte w nich struny wspomnień. To, co im przypominał w niewyraźnych zarysach, tkwiło we własnej ich myśli, napełniało ich sny, ścigało wyobraźnią; on przyoblekał w słowo marę przeszłości, której żalowali, dopomagał im do sformułowania tęsknoty, która nurtowała i gryzła występne, lecz zawsze człowiecze, ich piersi. W mowie jego słyszeli głosy własnych uczuć i słuchać go lubili. Był to ze strony młodego człowieka dowód niepospolitej przenikliwości i zręczności w ogarnieniu władzy nad ludźmi.

Po chwili przecież, w drugim szeregu siedzących na ziemi ludzi, podniosły się krzyki i swary. Jedna z kobiet uwieczonych zapuściła rękę do kotła jednocześnie z siedzącym obok niej mężczyzną. Ten odepchnął ją, ona się ofuknęła; mężczyzna podniósł nad głową jéj rękę, uzbrojoną w łyżkę, inni przyłączyli

się do niego, kobieta broniła się i krzyczała, czem jątrzyła bardziej napastników. Kaliński żywo obrócił głowę w stronę zwaśnionych.

– A to co ma znaczyć? – wymówił, – chcecie bić Justynę! wstyďte się, wszak to dama!

Podniósł się, i wyciągnął rękę w stronę rozgniewanych towarzyszy. Wyraz twarzy jego nie był przecież groźny ani surowy, owszem, żartobliwy uśmiech przewijał mu się po ustach.

– Słuchajcie! – zawołał donośnym swym i, jak dzwonek, dźwięcznym głosem, – szacunek dla dam!

Słowa te, a szczególnie ostatnie, dziwnie musiały zabrzmieć w uszach więziennego zgromadzenia. Treść i forma wypowiedzianego rozkazu wydać się musiały obecnym nader komicznymi. Komiczność tę wzmagał wyraz twarzy mówiącego, w którym baczne oko dostrzedz-by mogło smutne szyderstwo, ale nie okrzesane umysły widziały tylko swawolną pustotę. Człowiek, podnoszący przed chwilą pięść na sąsiadującą z nim kobietę, opuścił rękę; szeroko otwarte oczy utkwiał w mówiącego, kilka głosów zaśmiało się, Kaliński śmiał się także, śmiał się głośno, opierając dłonie na biodrach i przechylając się w obie strony. Czy śmiech ten jego szczerym był, czy też może za pomocą jego chciał on tylko w towarzyszach swych poruszyć i w grę wprawić strunę rubasznjej wesołości? trudno było powiedzieć na pewno. Zauważyłem, że wśród śmiechu brwi więźnia drgały i zsuwały się, jakby w uczuciu dolegliwego bólu; ale gdy kłótnia, jakby za dotknięciem magicznjej różdżki, ustała, gdy wszystkie

te grube, ponure lub zbolące twarze, które go otaczały, utraciły na chwilę wyraz groźny i ponury, oczy jego błysnęły jak stal pod słońcem, szerokie odetchnięcie zakołysało piersią...

Byłem pewny, że w chwili téj doświadczyć musiał uczucia tryumfu, podobnego temu, jakiego doznaje poskramiacz dzikich zwierząt, gdy uda mu się głosem swoim lub potęgą wzroku zagłuszyć wycie i złagodzić srogość hodowanych przezeń tygrysów i hyen.

Siedzący obok mnie dozorca spostrzegł zajęcie z jakim przypatrywałem się zachodzącym na dziedzińcu scenom.

– Tak bywa zawsze! – rzekł do mnie z cicha, – odkąd on tu jest, ja i straż więzienna nigdy prawie nie potrzebujemy wdawać się między więźniów. Od pierwszego zaraz dnia pobytu swego tutaj, zaczął on ich wodzić na sznurku, a choć niektórzy z nich drwią z niego czasem i próbują mu dokuczać, jak tylko odezwie się, milkną zaraz i słuchają go z pootwieranymi ustami. Kobiety szczególniej przepadają za nim, i posłuszne mu są, jak dzieci. Broni on ich zawsze od napaści towarzyszy, a gdy tylko zbiorą się koło niego, opowiada im różne jakieś dziwaczne historie, których ja, prawdę rzekłszy, nie rozumiem nawet dobrze, ale które trafiają widać do ich przekonania, bo nieraz widziałem, jak zanosiły się od śmiechu, a parę razy spotrzegłem niektóre z nich płaczące...

– Powiedz mi pan, – przerwałem, – czy podobne wpływanie na więźniów polecane mu, lub nakazane przez kogo zostało? albo czy odnosi z niego jaką korzyść?

– Bynajmniej – odparł dozorca – zdarza się czasem wprawdzie, że dla ulżenia sobie lub nawet dla dobra i spokojności samych więźniów, wybieramy z pomiędzy nich najenergiczniejszych i pozornie przynajmniej najlepszych, polecając im, aby dozorowali towarzyszy, zapobiegali kłótniom i wzajemnym krzywdom, wskazywali nam nakoniec tych, którzy okażą się najbardziej nieposłusznymi i zepsutymi. O powierzaniu przecież Kalińskiemu podobnych czynności nikt i nie pomyślał. Sądziliśmy przeciwnie, że, jako szlachcic i, według ogólnego wyrażania się więźniów, **panicz**, jako przytém najmłodszy i z pozoru najśłabszy, znosić on będzie od towarzyszy najwięcej dokuczań i że go przed nimi nam bronić przyjdzie. Stało się przeciwnie. Zapytywałem go raz, dlaczego tak nieustannie czuwa nad więźniami, godzi ich, zajmuje, śmieszy, komenderuje słowem nimi, jak dowódzca żołnierzami. Powiedział mi, że czyni to dla własnej przyjemności. Mnie się zdaje, że bez tego umarł-by on tu chyba. Nie uwierzy pan bowiem, co to za iskra z tego chłopca! Rusza się wciąż po więzieniu jak żywe srebro, chodzi, gada, opowiada, gestykuluje. Jestem pewny, że gdyby można zmierzyć kroki jego, które od rana do wieczora uczyni, ruszając się wciąż po tych dwóch dziedzińcach, wyniosły-by dziennie dobrych mil kilka.

Słowa te dozorca dały mi wiele do myślenia. Miałem widocznie przed sobą jedną z tych rzadkich i niebezpiecznych natur, które albo podnoszą ludzi na najwyższe szczyty, albo strącają ich w najgłębsze otchłanie, ale dla których środka niema.

Na dziedzińcu więziennym spożywanie obiadu było już ukończone. Jedni z więźniów z ciężkim stęknieniem powstali z ziemi i w ponurém milczeniu postępowali ku szarym ścianom gmachu, pod którymi leżały przedmioty ręcznych ich zajęć: na-pół uplecione maty ze słomy lub kosze z łozy, inni zostali na uprzednich swych miejscach i zapuszczali w głębią wypróżnionych kotłów wzrok, w którym znać było głód, niezupełnie zaspokojony; trzech czy czterech wyciągnęło się na wilgotnych kamieniach, z rękoma rozpostartemi bezwładnie i twarzami zwróconemi ku kawałkowi szarego nieba; dwie kobiety, blisko do siebie przysunięte, szeptały z cicha, wzdychając i chichocąc na przemian; dwie inne siedziały z łokciami opartemi na podniesionych kolanach i, ukrywając całkiem twarze w ciemnych grubych rękach, kołysały się z wolna niby w takt nurtujących, je głęboko tajemnych rozmyślań.

Kaliński siedział przez chwilę odosobniony i milczący, z łokciem opartym o brzeg kotła i brodą złożoną na dłoni. Znać jednak było, że ciało jego tylko pozostawało nieruchomém, myśl zaś i wyobraźnia pracowały. Oczy jego szczególnież zwróciły w téj chwili moję uwagę: przelatywały one z przedmiotu na przedmiot z chyżością, nadawaną im zapewne pędzącym przez głowę prądem myśli; ślizgały się niedbale po wilgotnych murach, przebijały wzrokiem czarne okratowane okienka, z uwagą i skupieniem ogarniały jedną po drugiej postacie więźniów; z rodzajem swawolnego uśmieszku w źrenicach tonęły w twarzach stojących u bramy żołnierzy; zawieszały się na sterczących

ich bagnetach; podnosząc się w górę, płynęły kilka sekund z popielatym obłokiem, sunącym po białym tle, i opadały na bruk dziedzińca, przeskakując z kamienia na kamień, zdając się pytać o coś, to uśmiechać się z czegoś, to myśleć nad czymś niespokojnie a uparcie. Cienkie wargi młodego więźnia otwierały się kilka razy, wydając parę skocznych taktów bez słów, lub składały się do gwizdania hulaszczęj piosenki; lecz w mgnieniu oka zwierały się znowu, zamknięte nadbiegłą jakby nową jakąś myślą.

– Zawołaj go pan teraz do parlatorium – rzekłem dozorczy i wszedłem do otwierającej się z bramy małej izby, którą okratowane, wysoko umieszczone okno, w ciągłym pozostawiało mroku. Całym umeblowaniem izby tej była drewniana ława, ciężki grubiej roboty stół i parę stołków.

Usiadłem na ławie i oczekiwałem przybycia nowego mego klienta. Z dziedzińca doszedł mię nagle powstały gwar głosów. Ludność więzienna, nie wiedząc, w jakim celu wołano jej ulubieńca, sprzeciwiała się snadź jego odejściu. Dozorca mówił coś surowo i nakazująco, ale gwar nie ustawał, gdy u wejścia do bramy usłyszałem głos Kalińskiego.

– Hej dzieci! – zawołał – cicho mi być zaraz! Toć nie na szubienicę prowadzą mnie! ktoś tam przyszedł do mnie; rozmówię się z nim i powrócę, a wtedy taką wam bajkę powiem, że popękacie od śmiechu! – Niesforne wrzenie brutalnego i nieokiełznanego żywiołu, napęlniającego dziedzińca, stopiło się na głos ten w głuchy i przyciszony szmer.

Do parlatoryum wszedł młody więzień. Za nim ukazał się dozorca, nie wszedł jednak, ale, rozejrzawszy się tylko bacznie po izbie, cofnął się wnet, szczelnie za sobą drzwi zamykając.

Kaliński, pozostawszy sam-na-sam ze mną, zatrzymał się o kilka kroków od progu; oczy jego, ostygłe w tej chwili i nieufne, przez parę sekund zatapiały się w mojej twarzy.

Ze sztywności, jaką nagle okryły się tak ruchome przedtém jego rysy, i z nieufności, malującej się w spojrzeniu, pojąłem, że dorozumiewał się we mnie sędziego lub innej jakiegóś urzędowej figury, przybyłej dla badania go w celach dla niego nieprzyjaznych.

– Panie Romanie! – ozwałem się, powstając i postępując ku niemu parę kroków. Nazwałem go po imieniu nie po nazwisku, sądząc, że złagodzę przez to wyobrażenie jego o tym urzędowym charakterze, który go ode mnie odstraszał. Przytém, dźwięk głosu mego, wprawnego w przemawianie do podobnych mu nieszczęśliwych ludzi, nie musiał mu się wydać przykrym, bo sztywne rysy jego poruszyły się znowu, zimne źrenice jaśniejszym drgnęły blaskiem.

Uderzony snadź myślą jakąś, czy przypuszczeniem, żywo postąpił ku mnie.

– Czy pan przychodzisz od rodziców moich? – zapytał się szybko i wpatrzył się we mnie wzrokiem, w którym widać było niepokój i oczekiwanie.

– Rodziców pańskich nie znam i nie oni mię tu przysłali; – odpowiedziałem.

– Nie oni – ciszej i spuszczać nagle powieki, rzekł młody więzień; – nie oni – powtórzył, mówiąc jakby do siebie – naturalnie! zkądże-by się to im wzięło raptem!

Gdy wyrazy te cichym lecz gwałtownym szeptem poruszały jego wargami, zauważyłem, że zęby jego silnie były zwarte, czoło zaś sfałdowało się w takie liczne i skrzyżowane ze sobą zmarszczki, że całą fizyognomią jego uczyniło nagle o dwadzieścia lat starszą. Podniósł oczy, w których ujrzałem nowy promień nadziei.

– Więc może to stryj mój przysłał tu pana?

– Nie widziałem oddawna stryja pańskiego – odrzekłem znowu, przyglądając się mu bacznie.

Przygryzł wargę do krwi, gwałt gniewu czy bólu buchnął mu przez oczy ostrym płomieniem i bladą twarz oblał ciemnym rumieńcem.

– A więc czegoż pan chcesz ode mnie! – zawołał popędliwie.

– Jestem pańskim obrońcą prawnym i przyszedłem dla pomówienia z panem o szczegółach sprawy której bronić mam przed sądem.

Patrzył na mnie szerzej, niż zwykle, otwartymi oczyma. Widoczném było, że nie rozumiał wcale znaczenia mych wyrazów.

– Domyśliłem się od razu, że pan jesteś urzędnikiem – rzekł.

– Nie jestem bynajmniej urzędnikiem – odpowiedziałem – jestem pańskim obrońcą.

– Cóż to takiego ten obrońca? – zapytał, orzucając mię od stóp

do głowy nieufnemi i niespokojne, mi<sup>2</sup> spojrzzeniami. – Czego pan żądasz ode mnie? co pan ze mną masz uczynić?

Nie miał widocznie najmniejszego pojęcia o znaczeniu obrony sądowej i stosunku adwokata względem przestępcy.

– Usiądź pan i posłuchaj mię – rzekłem łagodnie – wytłómaczę ci, dlaczego tu jestem, co dla ciebie uczynić mogę i powinienem.

Usiadł naprzeciw mnie na stołku i utkwiał w twarzy mojej oczy, w których niedowierzanie walczyło z ciekawością. Najjaśniej, jak tylko mogłem, skreśliłem przed nim główne zarysy procedury sądowej, podział i rodzaje czynności sędziów, prokuratora i obrońcy, znaczenie nadewszystko jak też obowiązki tego ostatniego, i ścisłą w danej chwili solidarność interesu klienta i adwokata.

Z niejakiem zdziwieniem zauważyłem, że wszystko, com mówił, było dla słuchacza mego najzupełniej obce i nieznanne. Słuchał mię on z natężoną uwagą, od czasu do czasu tylko przerywając mi pytaniami, objawiającemi głęboką nieświadomość najpotoczniejszych interesów publicznych, dotyczących się spraw i faktów. Kiedym wspomniał o zadaniu prokuratora, podniósł głowę i z najkompletniejszą naiwnością zapytał:

– Pocóż to on, proszę pana, potrzebny? naco mu się przydało napadać na ludzi i oskarżać ich? od czegoż są sędziowie?

Zaledwie jednak zacząłem wyjaśniać mu ustawę, o której

---

<sup>2</sup> niespokojnemi. [przypis redakcyjny]

nic wcale nie wiedział, spostrzegłem, że rozumiał mnie szybko i wybornie, odgadywał nieledwie myśl moją, akt pojmowania, odbywający się w bystrym jego umyśle, objawiając potakującym wstrząsaniem głową. Kiedym nakoniec, zwracając się do głównego założenia mowy mojej, powiadał mu, czém jest i być powinien obrońca przestępcy, wpatrywał się we mnie z podwójną uporczywością, i ze wzbudzoną na nowo niewiarą.

– Dla czegoż pan – zapytał ze zwykłą sobie porywcznością – podejmujesz się bronić ludzi, zupełnie obcych ci i nieznanym? czy wierzysz zawsze, że oni niewinni, a jeśli wiesz, że winni, czy nie gardzisz nimi?

– Czynie to dlatego – odpowiedziałem – że to jest obowiązkiem mego zawodu, że, dopomagając sędziom do ujrzenia sprawy szczegółowo i wszechstronnie, obronić mogę od niesłusznych podejrzeń oskarżoną niewinność, albo téż winę, jeśli ta istnieje, ukazać w istotnym świetle. Nie gardzę zaś nikim, sąd bowiem i potępienie występного człowieka nie do mnie należą; powinienem tylko poznać dokładnie naturę występku jego i to, co go spowodowało, aby z przeszłości jego, z uczuć i intencji, z okoliczności towarzyszących nieszczęsnej chwili, nie upuścić żadnego źdźbła, żadnej, by najdrobniejszej, okruchy, która-by na jego stronę przeważała szalę sprawiedliwości, umniejszyć mu mogła hańby i ulżyć pokuty.

Kiedy przestałem mówić, milczał chwilę, pogrążony w głębokim namyśle. Potém, nie patrząc na mnie, zapytał:

– A jeżeli obwiniony wyzna wszystko przed obrońcą, czy

nie zdradzi go przed sędziami? nie powie im wszystkiego, co usłyszy?

– Nie – odparłem – podobnego postępkowi wzbrania obrońcy prawo, sumienie, a nawet, własny jego interes.

– To prawda! – zawołał z wyrazem przekonania. – boć przecie, jeśli dowiedziesz pan, że jestem niewinny, albo że jestem winny mniej, niż sądzono, będzie to dla pana tryumf i chluba.

– Będzie to dla mnie uczciwe spełnienie obowiązku – odrzekłem z powagą.

– Więc pan naprawdę bronić mnie będziesz przed sądem? – zapytał po chwili.

– Bronić cię będę z najwyższym pragnieniem, aby słowo moje odwróciło od ciebie tę przyszłość, wśród której niema już żadnego ratunku, żadnej nadziei...

Podniósł nagle spuszczone dotąd powieki i całym ciałem uczynił taki ruch, jakby usłyszał coś zupełnie dla siebie niespodziewanego.

– Żadnego ratunku, żadnej nadziei! – zawołał z trochę urągliwego niedowierzania. – Czy straszenie więźniów należy także do czynności ich obrońców?... wiem dobrze, iż u nas nie ścinają ludzi i nie wieszają.

– Ale posyłają ich do ciężkich robót – rzekłem. – Czy pan ma wyobrażenie o tym rodzaju kary?

Patrzył na mnie teraz szeroko otwartymi oczyma.

– Mam, mam wyobrażenie o tym – wymówił szeptem prawie – wiem, wiem! w kopalniach, w fabrykach, z młotem albo przy

taczkach... długo... długo...

– I nigdy się już nie wraca tam, gdzie się urodziło, – dodałem.

Patrzył na mnie, ale szklanemi oczyma. Myśl jego była snadź w tej chwili daleko od tej izby, w której znajdowaliśmy się obaj; była ona zapewne przy owych taczkach, o których mówił, a także i w tym miejscu rodzinném, o którym ja mówiłem mu, że do niego nigdy nie wróci.

– Panie, – rzekł po chwili, – wierzę ci, że będziesz mię bronił z najżywszém pragnieniem, aby odwrócić odemnie tę... tę przyszłość...

Powtarzał słowa moje, które mu snadź utkwily w pamięci; potem, z nowym wybuchem porywczosci, zapytał:

– Cóż więc chcesz pan wiedzieć?

– Chcę wiedzieć prawdę, prawdę zupełną, – rzekłem, – inaczej nie będę mógł udzielić ci pomocy skutecznej.

Milczał i siedział nieruchomy. Skąpe światło, wpływające do izby przez wysokie okratowane okno, padało na niego z tyłu. Twarz jego, pogrążona w półcieniu, stawała się coraz bielszą; uchodził z niej ten nawet słaby rumieniec, któremu młodość i zdrowie fizyczne nie pozwoliły dotąd zniknąć całkowicie, nawet wśród więziennych murów i wewnętrznych udręczeń.

– A więc... – zaczął, ale usta zadrgały mu gwałtownie i głos ustał w gardle. Porwał się z miejsca i, podniósłszy obie ręce, ścisnął niemi czoło.

– A! – zawołał, – niech się już stanie, co chce! Nikt nie przybywa mi z ratunkiem! nikt nie przyszedł tu ani razu, aby

przynajmniej pogładzić mię tak, jak dobry pan gładzi psa, który zdycha! Daremnie czekałem, daremnie spodziewałem się! Myślałem, że ktokolwiek z nich, choć-by jedna dusza dobra, zlituje się nade mną! przyjdzie, pomoże, a choćby, jak sładze, który oddała się z domu, „bądź zdrow” powie! A jednak jest ich tam tyłu! a jednak... niech Bóg mię skarze, jeśli w tém wszystkim i ich także roboty niema! pan jesteś obcym dla mnie człowiekiem! przyszedłeś tu z obowiązku! jestem dla pana tém, co i żebrak, któremu dajesz złotówkę, aby z głodu nie umarł! ale chcesz mię bronić, będziesz mię bronił! Niech już co chce stanie się, powiem!

Był to prawdziwy potok wyrazów, który lał się przez usta jego z saméj głębi piersi, gwałtownie kołysanej wrzącemi falami goryczy i żałości.

Zawahał się chwilę jeszcze, potem porywczym krokiem przystąpił do mnie bardzo blisko.

– Tak! – rzekł, – ja go... ja go...

Wyraz, który wymówić miał, dławił go i wywierał na niego wpływ obezsilniający; zachwiał się, rękę oparł o stół.

– Ja to uczyniłem, – dokończył raptem prawie, poczem upadł raczej, niż usiadł, na stołek i w obu dłoniach ukrył twarz tak rozpaloną, że gorąco jój i gorąco przyśpieszonego jego oddechu czułem na twarzy méj i rękę.

Przez parę minut panowało pomiędzy nami zupełne milczenie. Ów rażny, młody chłopak, którego sprężystość, energią i pyszną jakby niedbałość o nic, spostrzegałem z

zadziwieniem przed kilku kwadransami, przeobraził się w tój chwili w dziwny sposób. Czyn jego, przyobleczony w wyrazy własnego jego wyznania, stanął snadź przed nim w całej grozie, zatrzął jego sumieniem, na czoło rzucił mu płomień wstydu i pierś owinał palącym węzłem zgryzoty. Siedział on teraz przede mną nieruchomy, niemy, mieniący się płomienną purpurą i śmiertelną bladością.

Po chwili dłonie jego odpadły mu od twarzy, podniósł żywo głowę i pochwycił mię za rękę.

– Jestem bardzo młody! – zawołał. – Oni nie mogą tak srogo mię karać, nie prawdaż? będą mieli wzgląd na młodość moją, na to, że mi trzeba żyć tak długo jeszcze... tak długo!...

– Niestety! – rzekłem, – długa zapewne przyszłość leży przed tobą. Ale... skończyłeś lat 18, prawo może już stosować do ciebie kary najsroższe.

– Czy ten człowiek... ten, który-to obwinia i oskarża, powiedział już, co ze mną uczynić mają?...

– Można, – rzekłem, – z góry przewidzieć, co powie on; oto, – dodałem, – jaką karę wyznacza prawo za taki, jak twój, występki.

Wypadkiem, miałem przy sobie jeden, z tomów Kodexu Karnego, i podałem mu go teraz, wskazując artykuł, którym prawo orzeka o zabójstwach, dokonanych z zamiarem rabunku. Pochwycił z rąk moich książkę, zbliżył się do okna i półgłosem czytać zaczął wskazany mu okres. Jakkolwiek chciwie czytał, szło mu to jednak z trudnością. Zatrzymywał się nad niektórymi

wyrazami, inne przekręcał, a zgłoski, złożone z większej nieco niż zwyczajnie ilości liter, musiał nieledwie syllabizować... Spostrzegłem, że chłopak ten, który przed chwilą objawił mi kompletną nieznaną najelementarniejszych spraw i pojęć społecznych, zaledwie umiał czytać. Umysł jego był widocznie pozostawiony odłogiem. Skończył czytanie i zwrócił na mnie wzrok zdziwiony.

– Ależ, – zawołał, – tu napisano jest o rabunku, okradzeniu, a ja mam przecie rabować ani kraść nie chciał.

– Być może, – odpowiedziałem, – wierzę ci nawet, że tak było, ale dlatego, ażeby wiara moja stała ci się przydatną, trzeba, abym nią natchnął innych... Dostarcz mi dowodów, że to, co mówisz, jest prawdą, opowiedz mi całe życie swoje, wszystko co było przed ową chwilą fatalną, wszystkie uczucia, wypadki i okoliczności, które ją sprowadziły.

– Dobrze, – rzekł, siadając, – powiem panu wszystko, jak księdzu na spowiedzi.

Podobne wyrażenia, w pół dziecinne, w pół ludowe, mieszały się w mowie jego z innymi, które, poprawniejsze i wytworniejsze, znamionowały w nim dziecię wyższej towarzyskiej sfery. Taką to mową, złożoną ze słów naiwnych i nieokrzesanych, lub gładkich i trafnych, opowiadał mi historią, krótkiego swego życia. Pierwsza jej połowa dość była zwyczajna. Wraz z braćmi i siostrami hodował się na wsi. Miał bonę Francuzkę, i do lat 12 guwenera Francuza. – *Je parle francais, Monsieur!* – rzekł z uśmiechem, w którym dojrzałem nieco ironii, – *je touche un peu*

*le piano et dans le temps je dansais comme un ange!*

Ów czas, w którym tańczył jak anioł, był czasem, w którym uczęszczał do progimnazjum w powiatowym miasteczku, sąsiadującym z dobrami jego rodziców. Miał lat 15, kiedy, skończywszy trzy progimnazjalne klasy, wrócił pod dach ojczysty wraz ze starszym bratem, Julkiem, który skończył klasę pięć. Julek, – mówił, – kochał się przez ten czas w dwudziestu przynajmniej dziewczętach i wylewał na siebie codziennie butelkę perfum. Co do mnie, nie cierpieć perfum i włosów nie fryzowałem nigdy, ale przez całe trzy lata kochałem się na zabój w Zochnie Burakowiczównie i, przesiadując u ojca jój, który był cukiernikiem i zarazem restauratorem, bawiłem się bardzo wesoło z kolegami, a nawet i z urzędnikami. Umieję też tak grać w bilard, że, proszę pana, niech się wszyscy markierzy pochowają przede mną...

– Grywałeś też zapewne i w karty? – przerwałem.

– Grywało się i w karty, – odpowiedział, – ale niewiele. Nigdy bardzo kart nie lubiłem, bo trzeba przy nich siedzieć, a we mnie, proszę pana, siedział zawsze jakiś szatan i rzucał mnie we wszystkie strony. Jak tylko, bywało, położę się, albo siądę, taka mnie ogarnia nuda, że poszedł-bym choć do piekła, byle tylko gdzieś iść, czegoś słuchać, na coś patrzeć, choćby, proszę pana, palić się w smole piekielnej, byle tylko coś czuć... Julek, brat mój, mógł całymi godzinami siedzieć przed lustrem, albo leżeć do góry brzuchem i, jak mu nikt nie przeszkadzał, regularnie ufrizować włosy; jak miał smaczny obiad i mógł wyspać się

dobrze po obiedzie, a wieczorem poumizgać się do dziewcząt, to był już najszczęśliwszym... Ja, panie, nigdy przed lustrem nie siadywałem, bo i co tam ciekawego, patrzeć na własną swoją fizyognomią? spać nigdy nie mogłem więcej, jak pięć godzin na dobę, a zdarzało się czasem, że po dwa i trzy dni, prócz chleba i wody, nic w ustach nie miałem... nie mogłem jeść, bo mię coś we środku paliło, i jak siadłem do stołu, wprost podnosiło z krzesła...

Nie zdawał sobie jasno sprawy z siły w nim działającej, ale ja pojąłem wybornie, czém ona była. Ów szatan, o którym mówił, że siedział w nim i rzucał go na wszystkie strony, była to krew wrząca, myśl bujna i niespokojna, nerwy nieustannie wrażeń łaknące, wyobraźnia ognista. Z bogatych i zarazem niebezpiecznych żywiołów tych, składających się na charakter namiętny, rzutny i wiecznie czynny, powstać może bohater, zarówno jak zbrodniarz. Dlaczego młody chłopak ten, w tak wczesnej porze swego życia, nie wzrastał dopiero i nie rozwijał się na bohatera, ale był już zbrodniarzem? Na to wewnętrzne pytanie moje znalazłem odpowiedź w słowach więźnia.

– Nudziłem się, proszę pana, w domu tak, że mi życie było niemiłe. Bo co téż tam, panie, za życie? Ojciec albo poluje po całych dniach i tygodniach, albo drzemie i fajkę pali, albo z sąsiadami gra w preferansa; matki i starszej siostry nigdy w domu niéma, – jeżdżą po sąsiedztwie i do krewnych, których mamy huk wielki; Julek sypia do 12, potem fryzuje się, perfumuje i jedzie tam, gdzie są bogate panny, bo on, proszę pana, chce

bogato ożenić się; młodsza siostra, Jadwisia, dobra dziewczyna, ale przy guwernantce jeszcze, pół dnia dudni na fortepianie, a drugie pół dnia razem ze swoją guwernantką romanse czyta. Jak pobyłem tam rok, tak mi życie zbrzydło, że chciałem powiesić się; ale rozmyśliłem się i z Michałkiem, synem naszego ekonoma, pojechałem do miasteczka, gdzie bawiłem dwa tygodnie. Bardzo mi tam było wesoło i od tego czasu, jak tylko znudziłem się, wiedziałem już, co mam robić. Bięda była tylko z pieniędzmi; w bilard i w karty to wygrało się, to przegrało, ale w karty przegrywałem jakoś częściej, bo grałem, nie myśląc, paliły mi się ręce i nie wiedziałem często sam, co robiłem i mówiłem. Sprzedałem raz zegarek, drugi raz frak...

– Miałeś więc już frak? – zapytałem.

Miał lat 16 i posiadał już dwa fraki, w których z bratem Julkiem ukazywał się czasem na wieczorach sąsiedzkich.

Sprzedał oba fraki i dwie eleganckie bonzurki, potem żył w miasteczku ze sprzedaży jakiegoś złotego pierścionka.

– Bielizny – rzekł, – miałem zawsze bardzo mało, więc jej nie sprzedawałem; ale gdy nic już do sprzedania nie miałem, pożyczyłem u znajomych Michałka kilkadziesiąt rubli... Tak sobie zresztą jakoś dawałem rady, że trzy miesiące na rok mieszkałem w domu, a dziewięć w miasteczku. Nie było mi i tu bardzo dobrze; czasem taki jakiś żal mię ogarniał, że szedłem w pole, rzucałem się na ziemię i płakałem całymi godzinami.

– I cóżś myślał wtedy, kiedy cię taki żal zdejmował?

– Sam nie wiem, panie. Zdawało mi się, że tam het precz

daleko, za lasami i górami, jest jakiś świat szeroki, światły, piękny, którego nie znam, a na którym lepiej być musi ludziom, niż mnie było w miasteczku... Jadwisia przeczytała mi raz z książki o tym włoskim generale, pan wie, o tym sławnym, jak się to on nazywa? a! Garibaldi! Otóż jak mi Jadwisia o nim przeczytała, to chodziłem dwa dni jak nieprzytomny i myślałem, że zwaryuję...

– Czy tak pragnąłeś czynić to, co czynił Garibaldi?

– Ah panie! – zawołał, – jaki to był szczęśliwy człowiek! Jestem pewny, że nie nudził się nigdy!

Wyraz: **nuda**, powtarzał się wciąż w mowie jego, niby zwrotka, tłumacząca mi treść tej smutnej pieśni życia, której słuchałem. Chciałem przecież sięgnąć do głębi rzeczy.

– Dlaczegoż, – rzekłem, – zamiast jechać do miasteczka, nie zająłeś się czémś? nie robiłeś czego w domu lub za domem?

– A cobym ja, proszę pana, miał robić? – zapytał mię wzajem ze szczerem i głębokim zdziwieniem.

– Mogłeś, na przykład, pomagać ojcu w gospodarstwie.

Zdziwienie jego zwiększyło się.

– Alboż to mój ojciec zajmuje się gospodarstwem? – zawołał.

– Więc może zajmuje się niem brat twój? w takim razie należało pomagać bratu.

– Julek! Julek miał-by gospodarować!

Śmiał się, mówiąc to, jakby z przypuszczenia zupełnie nieprawdopodobnego.

– Jakto? – rzekłem, – nikt więc w majątku rodziców twoich

nie trudni się gospodarstwem?

– A ekonom? – wyrzekł młody chłopiec z takim wyrazem, jakby wypowiadał fakt tak zwyczajny, iż nie pojmował, jakim sposobem mogłem nie wiedzieć o nim.

Coraz jaśniej spostrzegałem treść zjawiska i coraz ciężiej było mi na sercu.

– A więc, – rzekłem, – jeżeli myśl o gospodarstwie nie przyszła ci nawet do głowy, czyż nie po myślałeś nigdy o tém, aby ukończyć szkoły, pojechać na uniwersytet, wybrać sobie jaki zawód, który-by wymagał od ciebie ciągłej czynności i uwolnił cię przez to od nudy, której tak nie znosisz.

– A jakież to mógł być zawód? – zapytał.

– Mógł-byś zostać lekarzem, prawnikiem, technikiem, inżynierem, może zresztą byłbyś literatem, albo, ponieważ lubisz ciągły ruch i wrażenia, uczonym podróżnikiem.

Patrzył na mnie szeroko roztwartemi oczyma. Widziałem, iż na ustach jego drgała odpowiedź, że był synem obywatelskim; ale wrodzona bystrość i pojętność nie pozwoliły mu wydać się z tym niedorzecznym komunałem, który jednak z otaczającej go atmosfery przeszedł w jego umysł i zarył się w nim głęboko. Zapytał mnie więc tylko o znaczenie tych wszystkich zawodów, które wymieniłem. Wiedział dobrze, czém jest i co pełni doktor, stan i powinności prawnika poznał w części z uprzedniej rozmowy ze mną, inżyniera i technika w bardzo już bladém i niepewném spostrzegał świetle; ale co się tycze uczonych podróżników, ci przedstawiali mu się w kształcie mitycznych

figur, przypominających, niezapomniane jeszcze i główne tło edukacji jego stanowiące, bajki piastunek.

Wahałem się chwilę z odpowiedzią na pytania, które zadawał z płonącymi ciekawością oczyma. Nie wiedziałem, czy uczynię dobrze, błyskając przed wzrokiem tego nieszczęśliwego i zhańbionego chłopca obrazami owych rozlicznych i świetnych dróg téj ziemi, na których ludzie znajdują szczęście i cześć. Pomyślałem przecież, iż powinienem dotrzeć do gruntu uczuć jego, zbadać dokładnie, do jakiego stopnia umysł jego nierozwinięty był, i do jakiego zatruty złemi nałogami i naleciałościami tego smutnego życia, o jakim mi opowiadał. W krótkich i jasnych wyrazach zacząłem mówić o tym olbrzymim warsztacie, przy jakim pracują miliony robotników, każdy na swój sposób, wedle sił i potrzeb swoich. Nie przerywał mi niczém; widziałem tylko, że słowa moje zajmowały go niezmiernie, że chłonał je nieledwie z chciwością, że wywijał z nich całe szeregi nowych dla siebie pojęć, że wyobrażnia jego, szybka, rzutna, ognista, kreśliła na ich tle obrazy, niezbyt może bliskie prawdy, ale nęcące go, nakształt owych nieznanых, szerokich, jasnych krain, o których marzył, leżąc za ścianami brudnego miasteczka, wśród nagiego pola, i płacząc z pracującą w nim, tajemniczą tęsknotą. Kiedym przestał mówić, milczał jeszcze chwilę i oddychał prędko. Potém uczynił ręką giest gniewu i zniechęcenia. – Pal ich dyabeł! – zawołał rubasznie, – tych wszystkich mądrych ludzi, którzy tak dobrze trzymają w garści sznury od swych huśtawek! Mnie téj mądrości nikt

nie nauczył! Leciałem, gdzie wiatr niósł, i spadłem na złamanie karku!

Wyrazy jego tchnęły grubijańskim obyczajem miejsc, w których pędził niezajętą, wrażeń i ruchu spragnioną, młodość swą; lecz jakże wielką wypowiadał niemi prawdę! Nie posiadał, nie dano mu wielkiej nauki trzymania w silnej dłoni wodzy życia i czynów, leciał tam, dokąd niósł go wicher nieokiełzanych niczém i ku żadnemu wyraźnemu celowi nie skierowanych namiętności!

– Zaciągałem długi, – mówił dalej, – żydzi, oficjaliści, towarzysze zabaw moich u Burakiewicza, pożyczali mi pieniędzy, pewni, że zwrócone im one będą przez mego ojca. Ukrywało się to jakoś z rok, czy więcej; ale potem ojciec dowiedział się o tém, długi zapłacił, ale krzyku na mnie wielkiego narobił. Pół dnia gadał mi o tém, że mu wstyd czynię, że jestem wyrodném dzieckiem, głupcem, łotrem, że odtąd ani grosza już nie zapłaci nikomu, jeśli-bym jeszcze u kogo pożyczał, że wyrzeczę się mnie, wydziedziczy, w gazetach mię ogłosi...

– I, powiedziawszy to wszystko, – przerwałem, – co ojciec twój uczynił?

– A cóż miał czynić? – odrzekł, – zjechało się tego dnia wielu sąsiadów, pojechali do lasu na polowanie, potem, wróciwszy, całą noc jedli, pili i w preferansa grali.

– A matka? – zapytałem, – pewno płakała, dowiedziawszy się o złém twojém postępowaniu, i nauczała cię, co masz czynić

dalej?

– Matka! – rzekł, – matki nie było w domu.

Sceny z ojcem powtórzyły się parę razy, nie okiełznały jednak wewnętrznego szatana, który młodego chłopaka gnał poza rodzicielskie ściany, napełnione nudą i snem, przerywanymi tylko odgłosami trąbki myśliwskiej, brzękiem talerzy albo kłótnią. – Julek kłóci się wciąż z najstarszą siostrą, Femcią; Femcia kłóci się z Julkiem, z Jadwisią i z mamą, bo zła, że za mąż nie idzie. Mama ile razy do domu przyjedzie, kłóci się z ojcem, z Femcią i ze sługami. Stryj mój i synowie jego rzadko przyjeżdżali do nas, bo u nich tam podobno inne życie, a takie, jak nasze, bardzo im się nie podobało. A komu-by tam ono podobać się mogło? Ja, rok temu, zupełnie przenieśliem się do miasteczka. U Burakiewicza przestałem bywać, bo było mi tam już za drogo, a przytém odzienie darło się i wstyd mię brał pokazywać się znajomym ojca i brata, z dziurami na łokciach...

– Gdzież przez cały ten czas mieszkałeś?

– U wdowy Dzięcierskiej.

– Któż to jest ta Dzięcierska?

Spuścił oczy i zawahał się przez chwilę z odpowiedzią.

– To właścicielka tego handlu trunkami, w którym byłem tego wieczora, kiedy... kiedy...

Mieszkał tedy u właścicielki zakładu, niewiele różniącego się od prostego szynku.

Postępowałem dalej w badaniu mém.

– A rodzice twoi? – rzekłem, – stryj, bracia, rodzony i

stryjeczni? czy nie przyjeżdżali do miasteczka, nie starali się namówić cię, abyś wrócił do domu i prowadził się lepiej...

– Stryj nie przyjeżdżał wcale i mówił wszystkim, że się mnie wstydzi i ani wiedzieć o mnie nie chce, ojciec był parę razy w miasteczku za interesami i krzyczał na mnie, ale niewiele już to mię obchodziło...

– Dla czegoż niewiele cię to obchodziło?

– Ej, proszę pana, alboż to on co lepszego robi, niż ja robiłem?

– I nie pojechałeś z ojcem do domu?

– Owszem, raz pojechałem, ale nie mogłem dłużej w domu wytrzymać, jak trzy dni. Ojciec mię łąjał, Julek mi dokuczał, sługom nawet wszystkim kazali, aby się naśmiewali ze mnie. Przynajmniej dyabelna tam nuda...

– A matka? – spytałem.

– Matki nie było w domu.

– Więc wróciłeś znowu do miasteczka?

– Wróciłem. Koni mi nie dawali, poszedłem pieszo... od tego czasu nikt już z nich nie przyjeżdżał ani do mnie, ani po mnie.

– Z czegoż więc żyłeś?

– Ach! – rzekł, – różnie! Dzięcierska karmiła mię darmo, bo spodziewała się, że jéj to kiedyś z lichwą wrócę... w odzieniu chodziłem podartém... grywałem u Dzięcierskiej w białard i w karty i wygrywałem czasem...

Wpatrywałem się w niego bacznie i zadałem mu jedno z najważniejszych pytań, jakie do zadania mu miałem.

– Zkąd miałeś te pieniądze, które rewizja śledcza znalazła

przy tobie, skoro nie wzięłaś ich z kieszeni tego człowieka, o którym wiiesz?

– Miałem je ze sprzedaży medalionu, który nosiłem przy zegarku, a potem chowałem długo przy sobie, myśląc, że sprzedam go kiedyś i pójdę w świat...

– Poco?

– Sam nie wiem... do jakiego bardzo wielkiego miasta, gdzieby mnie nikt nie znał.

– Wstydziłeś się czasem swego położenia?

– No, – rzekł, – alboż to człowiek z kamienia czy z miedzi?

Zwróciłem go do głównego przedmiotu rozmowy.

– Komu i kiedy sprzedałeś medalion? – zapytałem.

– Dzięcierskiej, panie, – odpowiedział bez chwili wahania, – na kilka godzin przed tym przeklętym wieczorem. – Nazajutrz miałem nająć furmankę, pojechać do stacyi kolei żelaznej i kupić sobie za te pieniądze bilet na drogę... sam jeszcze nie wiedziałem dobrze, do Warszawy, czy do Petersburga. Dzięcierska zaparła się tego, że nabyła medalion, bo wart był cztery razy więcej, niż to, co mi za niego dała; ten człowiek zresztą, panie, był jój bratem.

Patrzałem mu w oczy badawczo, głęboko, i ujrzałem, że mówił prawdę. Wyraz spojrzenia jego, postawa, głos, wyrażały bezgraniczne, powzięte ku mnie, zaufanie. Jestem pewny, że, gdyby chciał nawet, nie mógł-by nic ukryć przede mną. Rozrzewniony był, przygnębiony, przerażony, a we mnie widział jedyne go człowieka, który przybywał do niego z pomocą i

pociechą. Jedną jeszcze próbę zadałem przeciw prawdziwości słów jego.

– A cóż, – rzekłem, – stać się mogło z temi pieniędzmi, które widziano u szulera na kwadrans przed wypadkiem, a których przy zwłokach jego nie znaleziono?

– Ach! panie! – zawołał z uniesieniem, – oni je zabrali! oni to niezawodnie zabrali mu je, znalazłszy go nieżywym! Gdybyś pan wiedział, jacy to ludzie o! gdybym ja ich znał tak, jak ich poznałem, myśląc o nich teraz od kilku miesięcy... uciekłbym, od nich, panie, na koniec świata! Mój Boże! mój Boże! jakiż dyabeł przyprowadził mię do tych ludzi i zrobił mię ich towarzyszem! Oh, dola moja, dola! czemu ja od nich nie uciekał wprzód! Oni, panie, od trupa odebrali pieniądze i powiedzieli, żem ja to uczynił...

Mogłem sądzić, że krew wytryśnie mu ze skroni, tak od wstydu i grozy nabrzmiały mu żyły; takim krwawym rumieńcem zalało się czoło jego. Ukrył je w dłoniach i, siedząc tak z pochyloną głową, w postaci skruszonej i złamaniej, opowiedział mi cichym, przerywanym głosem, że brata Dzieścierskiej widział owego wieczora pierwszy raz w życiu; że, zaproszony przez niego do wspólnej zabawy, począł z nim grać w karty; że przegrał mu już parę rubli, gdy spostrzegł, że był ogrywany fałszowanymi kartami. Zerwał się wtedy od stołu, przy którym grali, rozdarł i rozrzucił po izbie karty, i nazwał brata Dzieścierskiej podłym oszustem. Ten, po kilku chwilach kłótni, podniósł rękę i uderzył go w policzek. – Zrobiło mi się ciemno w oczach, – mówił

więzień, – w uszach mi zaszumiło... nie wiedziałem dobrze, co uczyniłem, ale podniosłem laskę, którą trzymałem w ręku, bo miałem już wychodzić z przeklętego tego domu, i uderzyłem człowieka tego, nie wiedząc nawet, że uderzyłem go w głowę... silny jestem, panie... bardzo, na moją niedolę, silny... musiałem uderzyć mocno i w złe miejsce.. i stało się nieszczęście...

Umilkł i utkwił w ziemi wzrok, w téj chwili ponury. Przez kilka minut milczeliśmy obadwaj. Jasno, jak na dłoni, widziałem teraz dzieje człowieka, który siedział przede mną w więziennój sukmanie; najgłębszą naturę jego, psychiczny proces, który odbył się w jego wnętrzu; najbliższe, a jednak najmniej dla ogółu widzialne, źródło błędów jego i występku, niedoli i zguby. To dziecię zamożnego szlacheckiego dworu otrzymało na drogę życia mniejszą sumę światła, niż ta, którą ubodzy robotnicy czują się częstokroć w obowiązku obdarzać swych synów. Fizyologiczne i psychiczne właściwości istoty jego zarówno były zapoznane i zaniedbane. Z jednéj strony wybuchał on nakształt dziko wzrosłej rośliny, o sokach gorących jak lava wulkanu; z drugiejj strony pozostał dziecięciem, pozbawioném świadomości dróg, obowiązków, dźwigni, podpór, wspaniałych szczytów i niebezpiecznych wądołów życia. Nie uwzględniono w nim indywidualnych odrębności, i ukształtowanie jego pozostawiono, tak jak innych, trafowi, sądząc, że traf ukształtuje go tak, jak najpospoliciéjj kształtował innych. On tymczasem był samym sobą, i nie mógł przyrość do tego, żyć tém, do czego przyrastali, czém żywili się inni. Jak ptak ze splątanemi

skrzydły po klatce, rzucał się i targał wśród ciasnej, widzialnej mu przestrzeni. Rozszerzyć jej sobie nie mógł, bo wszystko w nim było niesforne i niejasne, napełniały go namiętności i żądze, ale on nic ich nie rozumiał, pracowały w nim pierwotne instynkta, ale on znaczenia ich nie znał; przychodziły do niego niekiedy wyższe pragnienia i szlachetne tęsknoty, ale on nie wiedział, ku czemu je skierować. Czuł tylko, że był w niezgodzie z tém, co go otaczało, że cierpiał, i lekarstwa na cierpienie swe szukał tam, kędy je dojrzał. Innego nie dojrzał, bo rozum jego i wola przebywały w ciasnej ciemnicy.

Ostateczna katastrofa, jakiej uległ, była już tylko ścisłą konsekwencyą wszystkiego, co ją poprzedziło. Każdy człowiek, żyjący tak, jak on żył, może nie popełnić zbrodni, tak, jaki może ją popełnić. Kula, staczająca się z pochyłości, może nie wpaść w przepaść tak, jaki może w nią wpaść. Zależy to już wyłącznie od wypadku, od tego, czy wśród drogi, którą przebywa, znajduje się rozdół, albo nie znajduje; jeżeli jednak znajduje się, stanąć nad krawędzią jego ona nie może, i niesiona siłą rozpędu, musi być posłuszną przypadłościom drogi, którą przebywać zaczęła. Genealogia zbrodni młodego Kalińskiego ułożyła się w méj myśli porządkiem następującym: tam, gdzie jest natura ognista, żądz i namiętności pełna, a niéma woli, rozumu i czynnej działalności ku dobrze określonym skierowanym celom, tam musi być życie burzliwe, niesforne i nieporządne; gdzie życie jest nieporządne, muszą być orgie; gdzie są orgie, muszą być spory i kłótnie; a gdzie są spory i kłótnie zabójstwo być może.

Gdyby łaska młodego chłopca nie miała na sobie żelaznego nagłówka, wypadek cały byłby tylko karczemną burdą; nie ten przecież kawał metalu spowodował zbrodnią, ale nastrój, miejsce i towarzystwo, umozębniające, z konieczności niejako wywołujące – burdę.

Podniosłem oczy i spotkałem się z utkwioném we mnie spojrzeniem więźnia. Spojrzenie to, jak i cała twarz jego, posiadały wyraz, jakiego nie spostrzegłem w nim wprzód. Była w nim dziwna łagodność, rodzaj rzewnej nieledwie czułości.

– Jaki pan jesteś dobry! – zawołał z cicha, – jak mi dobrze, że zwierzyłem się panu, że zrzuciłem z serca ten kamień rozpalony, który na niém leżał, odkąd po raz pierwszy skłamałem przed sądem! Jestem pewny, czuję, że pan mi źle nie życzysz...

Więcej, niż kiedy, pojąłem w téj chwili, że wszystkie słowa, jakie słyszałem o węźle, wiążącym ludzi z ludźmi, najmnień choćby znanymi i najsrożej występnyymi, nie są czczym sentymentalizmem ani bezsensownym frazesem. Uczułem w sobie drganie braterskiej litości nad tém nieszczęsném, zgubioném dzieckiem.

Pochyliłem się ku niemu i spytałem go łagodnie:

– Powiedz mi, czy nikt nigdy nie mówił ci o wielkich obowiązkach, jakie człowiek spełnić powinien na ziemi, o potrzebie panowania nad sobą, o konieczności pracy, o czystości myśli, rąk i sumienia? Czy nikt ci o tém nie mówił nigdy?

Patrzył na mnie oczyma, które czułość i łagodność uczyniły w téj chwili dziwnie spokojnymi i przezroczytymi.

– Nikt, – odpowiedział z cicha.

– Czy wcale a wcale nie wiedziałeś o tém, że uczuć twoich, czynów twoich, rozumu twego, wymaga od ciebie kraj twój i ziomkowie twoi?

Tym razem żywsze światło zamigotało mu w źrenicach.

– Słyszałem o tém, ale nie rozumiałem dobrze, co to ma znaczyć.

– I nikogo, – ciągnąłem, – nikogo nie kochałeś tak bardzo, tak silnie, aby miłość ta ustrzegła cię od złego? ani ojca, ani matki, ani brata, ni siostr?

Wstrząsnął przecząco głową i rzekł:

– Nikogo!

Powstałem z miejsca, czując, że w oku mojem łza żalu pali się i wysycha w ogniu oburzenia.

Późno już było. Dozorca parę razy zajrzał do izby. O zapadającym zmroku musiano zamykać turmę.

Pożegnałem młodego więźnia, a gdy szedłem bramą ku wrotom, otwierającym się na ulicę miasta, widziałem, jak, stojąc w drzwiach parlatoryum, ścigał mię spojrzeniem.

Przestąpiłem próg więzienny z gorącą głową i ciężkiem sercem.

Los młodego Kalińskiego rozstrzygać się miał na posiedzeniu sądowém za dni ośm, czy dziewięć, a ja nie mogłem utworzyć stanowczego planu obrony więźnia, którego jednak postać i przeznaczenie tkwiły wciąż w méj pamięci. Była to jedna z najtrudniejszych praktyk, jakie spotkałem kiedykolwiek w

ciągu niezbyt wprawdzie dłużej jeszcze méj karyery. Że był on sprawcą zbrodni, o którą go obwiniano, o tém, wobec własnego wyznania jego, wątpić nie mogłem, wyznanie to jednak musiało pozostać tajemnicą, z której przed sądem nie wolno mi było czynić użytku żadnego. Trwając przecież przy zaprzeczeniu faktowi, usunąć nie mogłem od przestępcy dowodów, świadczących jasno o dopełnionej przez niego winie, tylko, że wina ta daleko sroższą i groźniejszą dla niego przybierała postać, niż-by to było wtedy, gdyby cała historia przedstawioną być mogła w istotném jéj świetle. Prawo karne ogromną czyni różnicę pomiędzy zabójstwem, dokonaniem w przystępie gniewu, lub w celu obrony osobistój, a takim, które dopełnioném zostało z zamiarem rabunku i kradzieży.

W istocie rzeczy Kaliński popełnił zbrodnię w chwili bezprzytomnego prawie uniesienia, i odpierając zadawane mu przez przeciwnika razy; ale pieniądze, znalezione przy nim, a ilością swą odpowiadającą tym, które widziano przedtém u szulera, nadawały jéj pozór taki, który musiał spowodować dla niego karę najcięższą. Moralne znaczenie występku zmieniało się téż ogromnie, według piérwszych lub drugich pobudek, jakim przypisać go miano. Gdyby można było udowodnić nieodparcie, że Kaliński znalezionych przy nim pieniędzy nie zdobył na zwłokach swéj ofiary, ale miał je z kąd inąd, miara wstydu i hańby zmniejszoną by dla niego była tak, jak surowość i trwanie pokuty. Tu jednak zachodziły trudności niezmiernie. Dowieść, że zabity człowiek używał do gry kart fałszowanych, które właśnie

wznieciły spór tak fatalnie zakończony, nie było najmniejszego sposobu; wszyscy bowiem świadczący w sprawie najmocniej interesowani byli w tém, aby zakrywać brudne i występne rzeczy, dziejące się w miejscu, w jakim przebywali.

Gospodyni zakładu była siostrą zabitego, goście jój – jego przyjaciółmi i towarzyszami. Zabłąkany wśród małomiasteczkowego motłochu, syn szlacheckiego dworu, był dla nich przedmiotem wyzyskiwania, lub rachuby, zasadzającej się na spodziewaném jego dziedzictwie. Był on w tém gnieździe oszustów ptakiem obcym, na którego, gdy upadł, rzucili oni ślinę i kamienie dla własnej obrony, przez skrytą może zawiść, ze zjadliwą radością.

Położenie moje było trudne. Nie mogłem, nie powinienem był biernie zgodzić się z tém, aby człowiek, którego obronę powierzało mi prawo, sądzony był za występek całkiem innej natury, niż ten, który popełnił istotnie. Jedyne przecież dowód, mogący odsłonić, a przynajmniej znacznie dopomódz do odsłonięcia prawdy, spoczywał w ręku kobiety, bynajmniej nieusposobionej do złożenia go w ręce moje lub czyjekolwiek. Bez jój zaś w tém współudziału, wszelkie twierdzenia moje pozostawać musiały gołosłownymi, a więc bezowocnymi. Nie myślałem téż ich używać, jako rzeczy, której prawo nie uwzględnia, a więc której prawnik bez śmieszności użyć nie może. Gdyby Dziecierska skłonioną być mogła do wyznania prawdy... myśl ta błysnęła mi jak nić przewodnia, według której kierować bym się mógł dalej po trudnej, lecz obowiązkowej dla

mnie, drodze bronienia, winnego zapewne, lecz mniej winnego, niż o tém świadczyły pozory, człowieka. Gdzie jednak i jakie były środki ku zmiękczeniu i wzruszeniu kobiety, rozjątrzonej i w ukryciu prawdy mocno zainteresowanej? Nie powinnyż-by myśleć nad tém osoby najbliższe nieszczęsnemu chłopcu, ojciec jego, matka? nie powinniż-by dołożyć starań, aby syn ich nie został nieszczęśliwszym, niż na to zasłużył? Położenie ich społeczne, zarówno jak boleść ich rodzicielska, mogły-by zaimponować kobiecie, trzymającj w swych ręku główny węzeł losu ich syna, lub wzruszyć ją, i ze słowami prawdy na ustach przed sąd przywieść. Prawo nie wzbraniało im tego, sumienie nakazywało to uczynić, serce nakazywać-by powinno...

Z innj strony, główną okolicznością, łagodzącą tu winę, było zaniedbane i błędne wychowanie młodego winowajcy, nadewszystko zaś niezdrowa pod względem moralnym atmosfera próżniactwa, bezładu, nudy i suchości uczuć, śród której wzrósł on krzywo, i rozwinął się kaleko. Rozwijając przecież przed sądem tę okoliczność, musiałem z konieczności dotkliwie i zawstydzające czynić wyrzuty ludziom, których jednak osobiście nie znałem. A cóż, gdyby zarzuty te po części przynajmniej były niesprawiedliwemi? gdybym, umniejszając niedoli i hańby występnemu synowi, rzucił niezasłużone brzemię wstydu i nowj boleści na siwą głowę, niezbyt zapewne mądrego (było to już dla mnie zupełnie dowiedzioném) lecz uczciwego ojca, niezbyt może dzielnej i troskliwej, (nie ulegało to też wątpliwości żadnej) ale dobrej i kochającj matki? Czułem, że, obwiniając rodziców

w celu częściowego przynajmniej uniewinnienia syna, ważyłem się na krok, ze wszech względów ważny, że kroku tego nie wolno mi było dokonywać lekkomyślnie. Zeznania młodego Kalińskiego i opowiadania jego o domu rodzinnym, wiele mi o nim powiedziały; posiadałem najsilniejsze przekonanie, że były one uczynione w najlepszej wierze; ale przekonanie to nie starczyło ani sumieniu mojemu, ani rozumowi. Dobra wiara, z jaką człowiek twierdzi o czémś, nie jest zupełną rękojmią prawdziwości jego twierdzenia.

Można mówić nieprawdę, ani myśląc o kłamstwie; młody Kaliński mógł mówić i myśleć o rodzicach swych wiele rzeczy, których wistocie nie było, lub które były innemi, niż mu się wydawały. Nie mogłem ważyć się na przyjmowanie w obec sądu i własnego sumienia współudziału w przypuszczalnych bardzo jego omyłkach. Jeżeli obowiązek nakazywał mi już potępiać, potępienie to oprzeć musiałem, powinienem był, na sądzie samodzielnym, na faktycznym poznaniu osób i okoliczności.

Z takimi-to myślami usiadłem, o bardzo wczesnej, porannej godzinie, na bryczkę pocztową, i udałem się drogą, wiodącą ku obszernemu, acz, jak słyszałem, niezmiernie zaniedbanemu i na-pół zrujnowanemu majątkowi Kalińskich. Nie miałem wcale czasu do stracenia. Napędzałem, jadąc, pocztylionów; w połowie drogi, dla większego pośpiechu, rozkazywałem na stacyach pocztowych zaprzęgać do lekkiej bryczki po cztery konie. Szybko też bardzo posuwałem się naprzód, i około godziny trzeciej z południa, z głównego gościńca skręciłem

w boczną aleję, wiodącą do kalinowieckiego dworu. Aleja ta osadzona była z dwóch stron włoskimi topolami, z których jednak potowa zaledwie pozostawała przy życiu. Inne uschnięte były, lub poprostu zrąbane.

– To dopiero śmieli i nieuczciwi ludzie, – rzekłem do pocztyliona, – żeby téż tak, tuż pod dworem, rąbać i kraść takie piękne drzewa...

Pocztylion, pochodzący ze stacyi, blisko z Kalinowein sąsiadującój, uśmiechnął się i zapytał:

– A jakże-to pan myśli? kto zrąbał te drzewa?

– Naturalnie, – odpowiedziałem, – chłopci pewno z poblizkich wsi.

– Otóż-to, że nie! – śmiejąc się głośno, rzekł, – temi drzewami we dworze w piecu palą.

– Czy w Kalinowie lasu niéma?

– Héj! i jaki jeszcze, choć go rąbią na wszystkie strony! ale poco do lasu po drzewo jeździć, kiedy taki piękny opał tuż za bramą rośnie?

Im więcej zbliżałem się ku dworowi, tém lepiej spostrzegałem, że nietylko to, co rosło za bramą, ale i sama brama, wspólnie z towarzyszącém jój ogrodzeniem dziedzińca, używaną być musiała na opał, lub inne doraźne gospodarskie potrzeby. Wytworną stolarską robotą wykonane sztachety podnosiły się do koła podwórza w znacznych od siebie odstępach; inne, wyjęte z podmurowania, całkiem prawie ogołoczonego z tynku, pozostawiły po sobie szerokie próżnie,

śród których pięły się i sterczały, zeszcłe w tój porze, łodygi dzikiego chmielu i bujnój dziewanny. Pod groźbą narażenia na zabicie się na jedném ze skrzydeł bramy, które, pozbawione górnój zawiasy, swawolnie szamotało się z wiatrem, wjechaliśmy na dziedziniec.

Wjechaliśmy na dziedziniec ten bez szwanku i przeszkody, ale przebyć go nie okazało się bynajmnień rzeczą nader łatwą. Psy, najrozmaitszych wielkości i gatunków, wywołane turkotem kół i dzwonkiem pocztowym, wypadać poczęły ze stron wszystkich i drogę nam zabiegać. Rzucały się one przed konie, ujadały, wyły, warczały, zębami klapały tak, że naprawdę począłem się obawiać, azali, jak Daniel, nie zostałem oddany zwierzętom na pożarcie. Pocztylion z całej siły ściągnął lejce, z obawy, aby rwące się i wierzgające konie nie uniosły nas, albo nie zmiażdżyły kopytem którego z napastników. Piekielna wrzawa, której staliśmy się powodem, sprowadziła z domu i ze stajen dwóch czy trzech ludzi. Rozlegały się też głośnie wołania, gwizdania i cmokania.

– Dobosz! Doskocz! Zagraj Połaj! Lutnia! Cytra! Arfa! Panna! Neptun! Omar! Flet! Bas! pódźcie! do nogi! harap! cyt! na tu!

Te i tym podobne okrzyki rozlegały się po dziedzińcu, zagłuszane wścieklém i niemającém końca, ujadaniem. Nagle pod drzwiami oficyny zjawił się chłopak wyrostek, w brudnej koszuli i czémś, nakształt kozackiej kurteczki, odziany na jedno ramię, podniósł do ust ogromną, mosiężną trąbę i

zadął na niej pobudkę, od której zapiszczało mi w uszach i zaszumiało w głowie. Był to snadź sygnał, którym zawiadamiano zwyczajnie psiarnią, iż obiad jój gotowy; bo wrzaskliwa zgraja ujadać przestała, nastawiła uszy, poczem tłumnie i z wielkim pośpiechem rzuciła się ku oficynie i ku grającemu wciąż na trąbie chłopakowi. Uwolnione z obłączenia, niemniej jednak przestraszone i rozjątrzone, konie, puściły się wielkim cwałem i w kilka sekund bryczkę, podskakującą po dzikich kępinach i zapadającą w głębokie rozdoły, jakich pełen był dziedziniec, przyniosły pod ganek domu. Dom to był obszerny, na wysokim podmurowaniu zbudowany, z długim rzędem wielkich okien i gżemsem, który musiał być kiedyś ozdobnym. Wszystko to zresztą musiało być kiedyś wygodne, ozdobne, a nawet wspaniałe. Dziś jednak gipsowe wieńce pospadały w połowie z gżemsów, pozostawiając po sobie okrągłe lub podługowate szare plamy; w kilku oknach szyby zastąpione były bibułą, a te, które istniały jeszcze, od pyłu i pajęczyn wszelką utraciły przezroczystość; u stóp podmurowania leżały gęsto rozsypane gruzy, z wypadłych cegieł i opadającego tynku powstałe; po słupach, podtrzymujących ganek, grubemi kroplami ściekała wilgoć, a w podłodze ganku brakło całkiem jednej deski, inna zaś, przełamana na pół, sterczała z jednej strony wysoko, z drugiej wklęsała głęboko w wilgotną ziemię.

Z wielkiej nagięj sieni, o ścianach popielatych od pyłu, wszedłem do przedpokoju, gdzie znalazłem dwóch wąsatych lokajów. Jeden z nich, przybrany w wyszarzaną, ale srebrnymi

guzami połyskującą, liberyą, zatrudniony był porządkowaniem w szafie stołowych naczyń, drugi, w czarnym tużurku, siedział w niedbałej postawie na kanapie, podartym perkalem obitej, z książką jakąś, na bibule drukowaną, w ręku. Zapytałem, wchodząc, czy znajduję w domu państwa Kalińskich. Lokaj w liberyi powiedział mi, że pana niéma, ale pani ze starszą panienką i paniczem tylko co przyjechali z sąsiedztwa. Postąpiłem ku drzwiom, w głąb' domu prowadzącym, ale tu powstał już z siedzenia swego lokaj w tużurku.

– Jak pana godność? – zapytał, – oznajmię pani...

Był to widocznie kamerdyner, jak domyślić się tego mogłem po braku liberyi, długiej brodzie i nie zmiernie poważnym wyrazie fizyognomii. Powiedziałem moje nazwisko, które jednak gospodyni domu niczego nauczyć nie mogło. Ale trzeba było zastosować się do ceremoniału, ściśle snadź zachowywanego w domu tym, którego gźémśy pokryte były pleśnią, a fundament rozsypywał się w gruzy. W minutę po tém otworzyły się przede mną na oścież podwoje salonów. Były to prawdziwe salony, nie zaś żadne ich imitacye. Sufity wysokie, posadzki układane z dębu i jesionu, sprzęty mahoniowe, z wysłaniem na sprężynach, wielkie zwierciadła pomiędzy oknami, brązowe zegary i porcelanowe wazy na stołach i konsolach. Mieszkanie to przedstawiało widok wcale efektowny, tylko że obicia na ścianach były brudne, dywany, zaściełające posadzkę, miały brzegi w dziwny jakiś sposób poszarpane i powykąsywane, stoły i poręczce sprzętów pokrywała gruba

warstwa kurzu, w porcelanowych wazach gnieździły się pająki i spoczywały zamarłe muchy, a wskazówki brązowych zegarów stały.

W salonie, w którym zatrzymałem się, nie było nikogo. Domowi nie byli snadź przygotowani do natychmiastowego powitania gościa. W istocie téż o uszy moje odbijał się, wychodzący z przedpokoju i z głębi domu, szmer śpiesznych kroków, stłumionych szeptów, dzwonienie żelazek i fruwanie przenoszonych z miejsca na miejsce odzieży. Stojąc przy oknie, ujrzałem niebawem przebiegającą od domu do oficyny dziewczynę służebną, z którą skrzyżował się w drodze, z oficyny do domu biegnący, osmolony kuchcik. Po chwili zaś dziewczyna niosła ku domowi wykrochmaloną spódnicę, a kuchcik niósł ku oficynie drewnianą łyżkę, pełną masła, i trochę mąki w rondelku. Naprzeciw dziewczyny wyszła wysoka jakaś panna, w brudnym flanelowym kaftanie, zarzuconym na ramiona i, pogroziwszy pięścią służącój, pchnęła ją ku domowi; na spotkanie kuchcika wybiegł kucharz w białym fartuchu, i w jednej ręce trzymając patelnię, drugą pochwycił ucho malca, trzymając je dopóty, dopóki wraz z nim nie znikł za progiem kuchni. Z całego tego ruchu domyśliłem się, iż, nie wiedząc, kto jestem, czyniono na przyjęcie me osobliwe przygotowania, składające się z krochmalonych spodnic, świeżo ufryzowanych włosów i dorobionych do obiadu naleśników.

Powszechne zamieszanie to, sprawione przybyciem jednego obcego człowieka, świadczyło o chaotycznym stanie, w jakim

dom ten i całe urządzenie jego pogrążone być musiało. Nie zapominając ani na chwilę o celu bytności méj w tém miejscu, porównywając ważne i głęboko smutne znaczenie celu tego z trywialnością i komizmem odbywających się przed oczyma memi zachodów, zostawałem pod wpływem przykrych myśli i przewidywań. Nagle doszłe do uszu moich warczenia jakieś i szelesty oznajmiły mi, że nie ja jeden znajduję się w salonie. Rozejrzawszy się bacznie, spostrzegłem, że byłem w bardzo nawet liczném towarzystwie. Ogromny czarny ternew leżał, zwinięty w kłęb, na głównej kanapie, dwa wyżły wyciągały się rozkosznie na miękkich materacach foteli, młode gończaki, o żółtych płomieniach nad oczyma, igrały swobodnie z brzegami kobierca, tłómacząc mi pochodzenie owych wykąszeń, które zauważyłem wprzód; jeden jeszcze pies jakiś, którego gatunku już określić nie mogłem, przebiegał przez pokój, pozostawiając za sobą gęste ślady łap zabłoconych, i jeszcze inny stał, dwiema wielkimi łapami wsparty o marmurową konsolę, usiłując pochwycić leżącą na niej niedojedzoną porcyjkę chleba, nasmarowanego masłem.

Osobliwe zgromadzenie to, które spostrzegłem dokoła siebie, nie zmniejszyło bynajmniej niecierpliwości, z jaką oczekiwałem zjawienia się gospodyni domu. Nie ona-to jednak weszła do salonu, ale młody, wysmukły mężczyzna; domyśliłem się w nim owego Julka, o którym słyszałem już od Romana. Był to piękny młodzieniec, ale wcale do brata niepodobny. Wysmukły, delikatny, z białą, jak u kobiety, twarzą, drobnym

jasnym wąsikiem i włosami, starannie pozwijanemi w loki i pukle, posiadał on tę pospolitą piękność, która, obojętna dla myślącego oka, najbardziej jednak popłaca wśród salonowych zabaw i zalotów. Cała postać jego wyglądała, jak wykrojona z żurnala mód. Z grzecznym uśmiechem na rumianych ustach zbliżył się do mnie, a gdy wzajemnie wymieniliśmy przed sobą nazwiska nasze, uprzejmym gestem wskazał mi fotel, stojący przy kanapie, tuż w sąsiedztwie rozciągniętego na niej ternewa.

– Bardzo żałujemy, – zaczął, – że przybywasz nam pan w nieobecności papy. Pojechał dziś właśnie z sąsiadami na polowanie. Wczoraj spadł pierwszy śnieżek, korzystając więc z wyborniej ponowy, myśliwi udali się w pole z chartami...

– Wielki Boże! – pomyślałem, – niewszystkie więc jeszcze psy, jakie zwyczajnie przebywają w tém miejscu, widziałem, ponieważ chartów nie było w domu!

– A pan nie jesteś zwolennikiem polowania? – zapytałem dlatego tylko, aby cośkolwiek powiedzieć.

– Trochę, trochę – odpowiedział miody człowiek – dziś jednak nie towarzyszę papie, ponieważ przed dwiema dopiero godzinami wróciłem z mamą i moją siostrą z trzydniowej wycieczki. Byliśmy na imieninach pani Z. Bawiono się wybornie. W ogólności od pewnego czasu w okolicy naszej bawią się bardzo wesoło. Mamy kilka bardzo ładnych i posażnych panien; młodzieży nieco brak, ale zawsze jakoś kadryl i mazur złożyć się mogą...

Umilkł i chrząknął parę razy, jak zwykle bywa z ludźmi,

k którzy czują się w obowiązku bawienia gości, a niewiedzą, o czym-by z nimi mówić mieli. Po chwili jednak zaczął znowu.

– Pan świeżo zapewne przybywasz do naszej okolicy? Nabyłeś pan może w sąsiedztwie naszym jakie dobra i zabierasz znajomość z nowymi sąsiadami. W takim razie bardzo wdzięczni jesteśmy panu, żeś o nas pomyśleć raczył, a ja z góry ofiaruję się panu na **cicerone**.

– Nie, pacie – przerwałem – jestem adwokatem i mieszkam stale w N.

Na te słowa, widoczne zmieszanie ukazało się na twarzy młodego syna domu. Snadź dom ten miał powody obawiania się wszystkiego, co tyczyło się prawa i ludzi, mających z nim urzędowy niejako stosunek. Przyczyną obawy tej nie były naturalnie wykroczenia żadne przeciwko kodexowi karnemu, ale zbyt liczne zobowiązania względem hipoteki. Dla pokrycia zmieszania swego i niezadowolenia, młody człowiek wyjął z kieszeni cienką chustkę i powiódł nią po twarzy, mnie zaś całego owionęła ulatująca z niej silna woń perfumy.

– Jesteś pan adwokatem... a więc zapewne... zapewne w jakim interesie...

Nie skończył wymawiać tych wyrazów, gdy otworzyły się drzwi i weszła przez nie kobieta, ze znacznie rozwiniętą tuszą, żwawa jednak i w czarnej sukni, na wielce bombiastą krynolinę włożonej! Panu Julianowi jakby ciężar spadł z serca. Zerwał się z fotelu i, zwrócony na-pół do mnie, na pół do wchodzącej, wymówił:

– Oto moja matka!

Z bacznością spojrzałem na matkę tego, za kim w domu tym przemawiać miałem. Nie była starą i nie była młodą, nie była piękną i nie była brzydką. Włosy miała gładko przyczesane pod czarnym czepeczkiem, oczy błękitne bez żadnego pewnego wyrazu i pulchne usta z dobrodusznym uśmiechem, z za którego ukazywały się zdrowe białe zęby. Nie przyciągała niczym i niczym nie odstręczała. W ogólności wyglądała na skończoną, szczyptą salonowej etykiety przyprawioną, kumoszkę i powiatową swachę z profesyi.

– Pan August Rolicki? – wymówiła tonem pytania, zatrzymując się przede mną.

– Tak pani – odrzekłem i, dla uniknięcia wszelkich wstępów i nieporozumień, wnet dodałem – przybywam tu w interesie pana Romana Kalińskiego, którego jestem prawnym obrońcą.

Słowa te sprowadziły na pulchną twarz kobiety tak silny rumieniec, że czoło jęj nawet i podbródek zaszły purpurą.

– W interesie Romana Kalińskiego? – wyjąkała, opierając się ręką o poręcz fotelu.

– Tak – odpowiedziałem ze spokojną stanowczością – w interesie syna państwa...

Kobieta podniosła żywo głowę i orzuciła mię piorunującym spojrzeniem.

– Roman Kaliński – rzekła drżącym od wzburzenia, głosem – nie jest, proszę pana, synem naszym. Mamy jednego tylko syna, którego pan oto widzisz przed sobą!

Spodziewałem się usłyszeć podobne słowa. Nie zmieszały więc mnie one i od spełnienia zamiaru mego nie odwiodły.

– W istocie – rzekłem – rozumiem dobrze, iż całe postępowania pana Romana, a szczególnie ostatnie trudności, w jakie popadł, mogły wzbudzić w rodzicach jego bardzo żywe niezadowolenie, narazić go na gniew ich, a nawet na czas jakiś zobojętnić dla niego ich serca. Nie sądzę jednak, aby zobojętnienie to mogło być tak zupełne i trwałe, iżbyście państwo nie chcieli, o ile to jest w waszej mocy, udzielić mu ratunku...

– Nikt nie może uratować człowieka, który sam siebie gubi – przerwała gospodyni domu, siadając i wskazując mi ręką miejsce na fotelu. Żrenice jej biegały niespokojnie, a ręce drżały i miać zaczęły w palcach brzeg przykrywającej stół bardzo kosztownej i silnie poplamionej serwety.

– Myśmy pomagali mu długo, proszę pana – ciągnęła z coraz wzrastającym wzburzeniem – mąż mój kilka razy płacił za niego długi. Nie spodziewaliśmy się jednak nigdy, ażeby dojść mógł do podobnych ostateczności. Był to, proszę pana, dla nas cios straszny. Kaliński w turmie! rzecz niesłychana! – Dziwi mię nawet mocno, że ktokolwiek ujmować się za nim może. Wierzę bardzo, że gdyby mąż mój pojechał sam do N. i zażądał tego, uwolnili-by go natychmiast, ale mąż mój tego nie uczyni...

– Jeśli-by nawet chciał to uczynić – przerwałem – wcale-by tém panu Romanowi nie dopomógł. W dzisiejszych czasach więzień, jakiegokolwiek był-by pochodzenia, na niczyje proste żądanie uwolnionym być nie może.

Wyraz niedowierzania i lekkiej obrazy osiadł na twarzy pani Elżbiety z Drewiczów Kalińskiej.

– Już to, proszę pana – rzekła żywo – jeżeli syn obywatelski, a do tego i nie byle z jakiej rodziny, siedzi w turmie, to tylko dlatego, że rodzice jego nie sprzeciwiają się temu i za syna go nie uznają. Zresztą – dodała ze wzruszeniem ramion – przypuszczam, że w teraźniejszym świecie żadna już wyższość ani godność szanowana nie jest, ale pieniądze muszą mieć zawsze znaczenie. Gdybyśmy chcieli, proszę pana, mogli-byśmy jeszcze, dzięki Bogu, sypnąć pieniędzmi i wykupić z turmy Kalińskiego; ale ani myślimy rujnować się dla jednego z dzieci naszych, z krzywdą dla innych i lepszych...

Wyznaję, iż, pomimo bynajmniej nie wesołego w tej chwili nastroju myśli mych i uczuć, z trudnością wstrzymać się mogłem od uśmiechu.

– Gdybyście państwo i mieli nawet ten zamiar – rzekłem – na nic-by się on panu Romanowi nieprzydał. Ludzi, posądzonych o przestępstwa kryminalne, wykupić dziś od sądu i kary niepodobna.

Do twarzy kobiety uderzyły znowu gwałtowne rumieńce.

– A więc, proszę pana – zawołała – jeżeli już tak nic wcale nie możemy, jeśli już tak niczym na świecie nie jesteśmy, jakże możemy temu nieszczęśliwemu przynieść tę pomoc, o jakiej pan mówiłeś? Czy mamy na intencją jego odbyć pieszo podróż do Ostrzej Brama? czy może na miejsce jego drugiego syna naszego wsadzić do turmy? Czy wleźć na wieżę i krzyczeć, że

on niewinny? Bardzo to pięknie ze strony pana obrońcy, że pan obrońca nie chce gubić człowieka; ale my już zrezygnowali się i prosimy pana obrońcę, aby wraz z kolegami swymi uczynił z nim, co zechce.

Po sposobie, jakim wymawiała i w mowie swój umieszczała wyrazy: pan obrońca, domyśliłem się, że wcale a wcale nie wie, z kim mówi, i że uważa mię przynajmniej za jednego z sędziów, jeżeli jeszcze i nie za urzędnika z prokuratury. Nie sądziłem jednak, aby tłumaczenie czynności moich i stosunku mego względem więźnia było w tej chwili potrzebne i właściwe. Rzekłem więc krótko:

– Ja syna państwa sądzić nie będę. Zadaniem moim jest przeciwnie: bronić go przed sądem z całej siły i możliwości. I dlatego-to właśnie przyjechałem tutaj, aby, w imię ludzkości i miłosierdzia, w imię nigdy nierozrywających się zupełnie węzłów rodzinnych, prosić państwa o udzielenie mu pewnej moralnej czysto pomocy, która na los jego bardzo wielki wpływ wyrzucić może.

Na dźwięk wyrazów: ludzkość, miłosierdzie, i związki rodzinne, łzy poczęły napływać do pałających przed chwilą gniewem oczu pani Kalińskiej.

– Pomocy! – zawołała płaczącym już głosem – jakiej-że to pomocy?

Opowiedziałem w krótkości o roli, jaką w historii syna tego domu grała niejaka Dziecierska, właścicielka handlu trunkami w pobliskim miasteczku. Kiedym wspomniał o medalionie, pani

Kalińska plasnęła rękoma i, zwrócona do syna, przerwała mi mowę wykrzyknikiem:

– Julku! Juleczku! wyobraź tylko sobie! ten nieszczęśliwy chłopiec sprzedał swój medalion, taki sam medalion, jaki ty nosisz zawsze przy zegarku! – Medaliony te, panie – dodała, zwracając się ku mnie – to bardzo droga pamiątka dla rodziny naszej! przywiózł je z Paryża ojciec chrzestny synów moich, pan szambelan Dębicki. Szanowny obywatel, którego czciliśmy i kochali wszyscy... I ten szalony chłopiec sprzedał pamiątkę po panu Szambelanie...

– Nie pojmuję doprawdy, co w tym tak bardzo mamę zadziwia – sarknął pan Julian – szanowny mój braciszek wiele potrzebował pieniędzy. Sprzedał-by on nie tylko medalion, ale rodzonych ojca, matkę, byle-by tylko ze swymi kompanionami wesoło życie prowadzić. Wszakże w przeddzień ostatniego już i najpiękniejszego jego postępu, będąc w miasteczku, widziałem się z nim... pokazywał mi swój medalion i mówił, że chowa go na jakąś tam podróż. Nazajutrz przecież sprzedał go, a w dodatku zabił kompaniona, aby go okraść...

– Julku! Juleczku! – płaczącym głosem upominała syna pani Kalińska, aby miarkował się w zapale.

Co do mnie, jeśli-bym doświadczał jeszcze choć cienia wątpliwości o prawdzie opowiadań i zeznań Romana, został-by on usunięty słowami jego brata.

– Pan Roman – rzekłem z mocą – nie okradł człowieka, którego miał nieszczęście życia pozbawić; pieniądze, u niego

znalezione, pochodziły właśnie ze sprzedaży tego medalionu, o którym państwo mówicie. Gdyby ojciec lub matka Romana Kalińskiego zechcieli namową, prośbą, lub jakimkolwiek sposobem wpłynąć na ową kobietę...

– Jakto! – z żywym poruszeniem zawołała pani Kalińska – czy możesz pan dobrodziej przypuszczać naprawdę, że ja... ja... wdam się w jakikolwiek stosunek z taką... taką... kobietą...

– W istocie – rzekłem – sądziłem naprawdę, że pani uczynić to zechcesz, jeśli już nie przez litość nad synem, to przez miłość prawdy, która inaczej ukrytą zostanie na zawsze przed oczyma ludzi, najbardziej nawet pragnących ją ujrzeć i wymierzyć sprawiedliwość. Jeśli jednak – dodałem – mniemanie moje było błędnym, zdaje mi się, że ojciec Romana Kalińskiego, jako mężczyzna, doświadczać nie będzie podobnych drażliwości i zechce spróbować przynajmniej wpływu, jaki mieć może...

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.